

1D 58631

0 życzliwości

w Dzień Życzliwości z psychologiem

str. 5

Lucyna Legut

opowiada o oku dziadka

str. 6 - 7

John F. Kennedy

z ciemnej strony

str. 14

Lwowskie orlęta

wracają z nicości

str. 19

Piątek, 21 listopada 1997 r.

Nr 271 (16 126) Rok LIII ISSN 0137/9062 indeks 350028

Nakład 186 500 egz.

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
BIBLIOTEKA
80-800 Gdańsk, Turgołkowy 5/6
tel. 31-40-11, 14

magazyn

Dziennik
Bałtycki

Rejsy

Gdański desant



Fot. Robert Kwiatek

Sylwetki
nowych ministrów

str. 3 - 4

Boysbandy



Fot. Robert Kwiatek

Idole z ogłoszenia

str. 17

My z pożaru
STR. 10-11

Byłam z moją 5-letnią córeczką kilkakrotnie w „Cricolandzie” przed wypadkiem opisanym w artykule „Beczka Pandory” („Rejsy” z 7 listopada 1997 r.) i za każdym razem obiecywałam sobie, że moja noga tam więcej nie postanie. Przede wszystkim rzucało się w oczy to, że to „wesołe miasteczko” jest wesołe tylko z nazwy. W rzeczywistości jest smutne, a przede wszystkim potwornie brzydkie. Odkąd zdarzył

się wypadek z beczką, mówię córce, że „Cricoland” jest zamknięty. Cóż kiedy ona chce (i ma prawo) chodzić do lunaparku. Czy naprawdę w Trójmieście nie możemy mieć choćby jednego parku rozrywki dla maluchów? Takie sale zabaw funkcjonują przecież z powodzeniem w supermarketach i nie sądzę, żeby właściciele dokładali do tego interesu.

Ewa C., Gdańsk

REKLAMA

VIDOK OKNA z PCV i AL
VEKA, PANORAMA, YAWAL, WICONA
NAJNIŻSZE CENY

CENTRALA
RUDNA MAŁA 75
koło Rzeszowa
36-054 MROWLA
tel. (0-17) 8552-224, 8552-471
tel./fax (0-17) 8552-470

GDAŃSK
ul. Sandomierska 11
tel. (0-58) 39-05-21 do 25
fax (0-58) 39-44-17

REKLAMA DUO
to rodzaj reklamy ukazującej się jednocześnie w **DZIENNIKU BAŁTYCKIM** i **WIECZORZU WYBRZEŻA**

Dziennik Bałtycki **WIECZÓR WYBRZEŻA**

Szczyt głupoty

No i stało się. Głupota sięgnęła szczytu. Ostatnio rzecznik praw obywatelskich prof. Zieliński zakwestionował prawo policji i straży miejskich do kontrolowania młodzieży włóczącej się bez celu po ulicach miast w dzień lub w nocy. Stwierdził, że narusza to jej prawa obywatelskie. (...)

W tej paranoicznej obronie dzielnie sekundują mu przedstawiciele Komitetu Helsińskiego z panem Markiem Nowickim na czele. Ten ostatni stwierdził pewnego czasu publicznie w telewizji, że aby zresocjalizować przestępcę, należy mu w więzieniu zapewnić bardzo dobre warunki. Trzeba mu zapewnić telewizję, video, rozrywki, nie można zmuszać do pracy, trzeba wypuszczać na przepustki i urlopy. (...)

W ten sposób mogą myśleć tylko osoby żyjące w innym świecie, żyjące pod kłosem, nie wysadzające nosa z domu i pracy. Może ci wszyscy obrońcy praw człowieka zrobiłby sobie spacer po ulicach miast (niekoniecznie tych najciemniejszych), oczywiście bez obaw, a zobaczyliby ile jest rozpasań, chamsstwa i bandytyzmu. Może gdyby zostali zaczepieni przez grupę wyrostków, daliby pokaz swojej elokwencji i na miejscu udałoby się im zresocjalizować ich. Zawsze na świecie było tak, że obowiązywały zarówno prawa jak i obowiązki. Ostatnio nastała moda na prawo i to na prawo w tym najgorszym wydaniu. A jakie prawa mają ci najslabsi i najuczciwsi?

Może lepiej byłoby, gdyby rzecznik praw obywatelskich zadbał o to, że młodzież ma prawo do godnego wypoczynku (od godz. 22 do 6), do należytego zgłębiania wiedzy (niechodzenie na wagary), do należytego przestrzegania i poszanowania prawa.

Policja powinna mieć możliwość zawsze sprawdzenia kto jest kto i co robi. Po to jest policja. Nie wierzę, że normalnie wykonujący swoje obowiązki policjant zatrzyma do wyjaśnienia (na 48 godzin) osobę, o której wie wszystko z dokumentów, że zatrzyma młodzieńca w wieku np. 16 lat, który wraca spokojnie do domu z kina, teatru lub udając się z ważną wiadomością do rodziny lub znajomych.

Pan prof. Zieliński pochwalił się, że jak był młody, to też chodził na wagary. Gdyby wówczas nie poszedł na wagary, a do szkoły, być może nie plótłby dzisiaj takich głupstw, nie wypaczałby pojęcia prawa. Zanim coś się powie, trzeba zastanowić się poważnie, zwłaszcza gdy jest się na tak eksponowanym stanowisku.

Józef Jakimiak

21 listopada 1997 r.

Dziennik Bałtycki



Rejsy

Redagują: Artur Kawiński, Aleksandra Paprocka, Dariusz Szreter
Opracowanie graficzne: Krzysztof Ignatowicz
Stale współpracują: Piotr Dominiak, Grzegorz Kurkiewicz
Jerzy Samp, Janina Wieczerska
Tel. 31-79-26; 31-50-41 w. 350, 351

W kuchni **Gama 1001** wszystko ma swoje miejsce...

...nawet urlop.



Producent Mebli Kuchennych Gama 1001 specjalnie dla Ciebie wykona funkcjonalny projekt, wybierze materiał, modny wzór i Twój kolor, dopasuje wysokość blatu wyposaży w odpowiedni sprzęt AGD...
Promocja!!!

...a dzięki formule "7. 12" * gwarantujemy darmowe urlopy w sieci hoteli i pensjonatów, spędzisz niezapomniane wakacje. Przy zakupie zestawu mebli kuchennych "Gama 1001" od 2-3 000 zł 3 darmowe noclegi. Od 3 001-4 000 zł 7 darmowych noclegów. Przy zakupie powyżej 4 001 zł 14 darmowych noclegów.

Razem stworzymy kuchnię Twoich marzeń

Studia Mebli Kuchennych Gama 1001

Gdynia, ul. Jana z Kołosa 32, (za halą targową) tel. 21 69 551 w godz. 9-17, soboty 9-13

Gd. Wieszcz, ul. Pileńskiego 3, (wejście od strony Manhattanu) tel. 41 18 60 w godz. 9-17, soboty 9-13

* Oferta ważna cały rok. Zaplanuj swój urlop z Gama 1001 a zapłacisz tylko za wyżywienie.

Electrolux - KASIA and Co.

GRZEJNIKI C.O. ALUMINIOWE

ciśnienie robocze do 10 bar

- 92 rodzaje, osprzęt w komplecie
- prosty montaż, wysoka sprawność
- możliwość zastąpienia nimi grzejników żeliwnych

Gdańsk, Kościuszki 6, tel. 44-10-30

Gdańsk, Grunwaldzka 471, tel. 52-27-65

Elbląg, Królewiecka 87, tel. 34-91-36

Gdynia, Mireckiego 11, tel. 27-07-04

Wejherowo, Gdańsk 13 F, tel. 72-39-41

Starogard Gd., Kościuszki 46, tel. (069) 16-237-02

CENY PROMOCYJNE

TYLKO DO 15 XII '97



Ford
zapraszamy na dni otwarte
22-23 XI
od 9⁰⁰ do 16⁰⁰

• Prezentacja nowych modeli FORDA ESCORTA BOLERO i GHIA

• Promocyjne ceny

• Jazdy próbne

• Bezpłatny przegląd zimowy samochodu każdej marki

CZY PAMIĘTAJ SZWÓJ PIERWSZY POLAZD ?



Euro-Car

81-020 GDYNIA ul. Owsiana 13
tel. (058) 23 68 08, fax (058) 23 69 98

Z Trójmiasta do Warszawy

Gdański desant w rządzie

Skład rządowego pociągu z Gdańska do Warszawy okazał się krótki. Zapowiadało się całkiem niezłe, bo z Gdańska miało być 5 ministrów. W ostatniej chwili odpadły Ministerstwo Edukacji, (którym miał kierować prof Edmund Wittbrodt z AWS) i Transportu (przeznaczonego pierw dla Jacka Merkla z UW). Gdańszczanie z AWS stoją na czele trzech ministerstw, a znany polityk UW, Bogdan Borusewicz, jest pierwszym zastępcą ministra spraw wewnętrznych. Spróbowałimy przyjrzeć się trzem ministrom.

Teresa Kamińska minister koordynator ds. reform społecznych

chowywanie dzieci. - Myślę, że osiągnęła to, o czym marzyła, bo wszystkie jesteśmy po studiach i mamy ułożone życie, to jej wielka zasługa - mówi Kamińska.

Studia skończyła w Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. O wyborze tej uczelni zdecydowały jej pasje żeglarskie. Od ósmej klasy szkoły podstawowej wakacje spędzała na mazurskich jeziorach. Fascynowali ją ludzie, z opowieści których dowiadywała się o prawdziwej historii tych ziem. Już wtedy marzyła o pracy w szeroko rozumianej ochronie środowiska, a szczególnie jezior mazurskich. Toteż, gdy na uczelni wprowadzano kierunek rybactwa śródlądowego, Kamińska nie miała wątpliwości, że to są dla niej wymarzone studia.

W trakcie studiów wyszła za mąż, wkrótce urodziła syna, Wojtkę, który obecnie jest na pierwszym roku prawa na Uniwersytecie Gdańskim.

Po ukończeniu studiów w 1980 r. karierę zawodową rozpoczęła na uczelni w Katedrze Biologii Ryb.

- To był jeden z najwspanialszych okresów w moim życiu. Miałam bardzo interesującą pracę, wspinałam się koleżanek. Wyjeżdżaliśmy na odlowy ryb, wypływaliśmy na jeziora, zajmowałam się między innymi znakiem ryb, poznawałam ich zachowania - wspomina. Praca trwała krótko. Należała do „Solidarności”, a po wprowadzeniu stanu wojennego rozpoczęła działalność w Prymasowskiej Komisji Charytatywnej. W „procesie kortowskim” (pracowników uczelni) była jedną z oskarżonych o prowadzenie działalności związkowej. Pod



Teresa Kamińska, minister koordynator ds. reform społecznych. Przez tydzień od objęcia urzędu schudła trzy kilogramy.

Fot. Robert Kwiatek

naciskiem SB musiała opuścić uczelnię.

Nie mogąc pracować w swoim zawodzie, Kamińska przekwalifikowała się i zrobiła specjalizację serologa w Akademii Medycznej w Gdańsku. Rozpoczęła pracę w szpitalu w Braniewie, w pracowni serologii.

Ponieważ w Braniewie kontynuowała działalność w komisji charytatywnej, opiekowała się uwięzionymi, tamtejsze władze i SB zaczęły szykanować nie tylko ją, ale również męża. W tej sytuacji mąż, z zawodu weterynarz, postanowił wrócić do Gdańska, gdzie mieszkali jego rodzice. Kamińska miała rozpocząć pracę w tworzącym się laboratorium w szpitalu na Zaspie, ale i tu dopadły ją naciski partii i SB - mogła pracować tylko w przychodni na Grunwaldzkiej.

Później dr. Jerzy Pucek, mimo że znał jej kłopoty, zatrudnił ją w Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. I tu pracowała 6 lat. W tym czasie działała w regionalnej sekcji służby zdrowia, została jej szefową, a następnie przewodniczącą Krajowego Sekretariatu Ochrony Zdrowia, gdy senator Alina Pieńkowska nie chcąc łączyć funkcji parlamentarnej ze związkową złożyła rezygnację.

- Bardzo dużo jej zawdzięczam, uczyła mnie działalności związkowej i to ona właściwie utworzyła ten branżowy sekretariat - mówi o Pieńkowskiej.

Chociaż ostatnio funkcję związkowca łączyła z urzędniczą, była równocześnie dyrektorem Ośrodka Analiz i Promocji Zdrowia, do tej pory znano ją głównie z przewodzenia radykalnym akcjom związkowym: strajki, głodówki. Po raz pierwszy w trakcie rozmów z anestezjologami znalazła się po drugiej stronie barykady. - Teraz próbuję realizować to, o co walczyłam przez całą działalność związkową; chodzi nie tylko o reformę służby zdrowia, ale również emerytalną, oświaty, kultury. Tych reform nie da się przeprowadzić bez społecznej akceptacji. Choć sytuacja teraz jest trudna, bo apogeum strajku przypadło na czas konstruowania rządu, wierzę, że w końcu uda się rozwiązać problemy anestezjologów.

Marek Zdrojewski minister łączności

Za skromnego i pracowitego uznają go przyjaciele - Marek Biernacki, czy Arkadiusz Rybicki i jego dawny szef w resorcie prywatyzacji, Janusz Lewandowski.

Jest politykiem gdańskim, choć niezbyt znanym. - To dlatego, że ostatnie pięć lat mojej aktywności zawodowej przypadło na Warszawę - wyjaśnia.

W rządzie Hanny Suchockiej był wiceministrem przekształceń własnościowych. Potem pracował w Telewizji Polskiej za prezesury Wiesława Walendzia-ka. Najpierw był doradcą prezesa zarządu, a następnie dyrektorem wydziału ekonomiczno-finansowego.

Ma 36 lat. Urodził się i mieszka w Gdyni. Jest żonaty i ma dziesięcioletniego syna Michała. Żona, Małgorzata z wykształcenia jest historykiem archiwisty; pracuje w Biurze Edukacji Ekologicznej. Zdrojewski pochodzi z typowej dla Gdyni rodziny marynarskiej. Ojciec marynarz mechanik wpływał w długie lata, a jego i brata wychowywała matka. Z domu rodzinne wspomina ciepłą i religijną atmosferę.

- Rodzice, jako przeciętni Polacy, nie byli zbyt aktywni politycznie. Moja rodzina ma jednak korzenie chrześcijańskie, w minionym czasie to coś znaczyło - podkreśla.

Od momentu powstania ZChN na początku lat dziewięćdziesiątych, należy do tej partii - przez dwa lata był członkiem Rady Naczelnej. Korzenie polityczne Zdrojewskiego sięgają też opozycyjnego Ruchu Młodej Polski, z którym związał się na początku lat osiemdziesiątych.

Pierwsze doświadczenie polityczne przyszedł minister zdobywał w NZS w 1981, jako członek komitetu strajkowego na Uni-

wersytecie Gdańskim w Sopocie.

W stanie wojennym Marek Zdrojewski współpracował m.in. z Markiem Biernackim, z którym, podobnie jak z Wiesławem Walendziakiem, łączy go więzy przyjaźni.

- Marka poznałem na studiach - wspomina poseł AWS Marek Biernacki, były likwidator majątku po b. PZPR. Obaj ukończyli prawo na Wydziale Prawa i Administracji UG. Biernacki był świadkiem na jego ślubie. - Ślub i wesele były wspaniałe - wspomina; zaznaczając, że alkohol pito umiarkowanie. Uroczystość kościelna odbyła się w Redłowie, a po formalnościach cywilnych w Urzędzie Miejskim w Gdyni, młoda para i goście poszli złożyć kwiaty pod krzyż upamiętniający tragedię ofiar Grudnia 70. Była to połowa lat osiemdziesiątych.

Z pisarzy Marka Zdrojewskiego najbardziej fascynował Conrad. - Wychowywałem się na jego książkach - zaznacza. Chodził do I LO w Gdyni. Był w klasie matematyczno-fizycznej, ale największe wrażenie wywarła na nim wychowawczyni, polonistka Barbara Dumania. Teraz zaczytuje się w dziełach filozofów chrześcijańskich, przede wszystkim w utworach św. Tomasza z Akwinu.

Dokończenie na str. 4

REKLAMA

Redakcja
„Dziennika Bałtyckiego”

Dziennik Bałtycki

poszukuje kandydata
na stanowisko
redaktora prowadzącego
magazyn „Rejsy”,
ukazujący się z piątkowym wydaniem gazety.

Kandydaci powinni spełniać następujące warunki:

- * wykształcenie wyższe,
- * staż pracy dziennikarskiej minimum 3 lata,
- * kreatywność oraz umiejętność kierowania zespołem.

Oferent powinien zawierać:

- * życiorys zawodowy,
- * list motywacyjny,
- * kopie dokumentów potwierdzających kwalifikacje.

Odpowiedniemu kandydatowi oferujemy pracę w największym wyborczym dzienniku na samodzielnym stanowisku oraz atrakcyjne warunki wynagrodzenia.

Zainteresowanych prosimy o przysyłanie ofert w terminie do 1 grudnia br. pod adresem: „Prasa Bałtycka” - Dział Kadr i Administracji, 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7, z dopiskiem na kopercie „Oferta - Rejsy”.

R-9706



Wiesław Walendziak, sekretarz Kancelarii Premiera, poseł z listy AWS, w Elblągu zdobył najwięcej głosów. Sukces zapewniła mu telewizyjna popularność.

Fot. Andrzej Tawoniusz

Gdański desant w rządzie

Dokończenie ze str. 3

Wiesław Walendziak
sekretarz
Kancelarii Premiera

Kiedyś grał w piłkę nożną, obecnie gra w szachy.

Po czterech latach przerwy Zdrojewski wrócił do rządu. Uderzyły go duże zmiany kadrowe. W ministerstwie łączności na kierowniczych stanowiskach nie ma śladu po ludziach, którzy tu przyszli po 1989 r. Wtedy było inaczej, gdy wchodził do Ministerstwa Prywatyzacji zastał w nim ludzie związanych z „Solidarnością”. Mówi, że wyczuwa w ministerstwie atmosferę przestachu. - To wymaga czasu, wzajemnego poznania się. Myślę, że ta bariera zostanie przekroczona. Nie zamierza zwalniać mechanicznie. - W tej chwili dokonuję przeglądu kadrowego. Najważniejsza jest uczciwość i merytoryczne przygotowanie - podkreśla.

- Pracował w bardzo trudnym okresie, bo wtedy prywatyzacja wywoływała emocje. Będąc w ZChN często podejmował się roli mediatora i łagodził napięcia w łonie rządu - wspomina Zdrojewskiego b. minister prywatyzacji Janusz Lewandowski.

- Skromny i rzeczowy człowiek, który nie stara się ustawiać w światłach jupiterów - charakteryzuje jego osobowość Lewandowski. - Dobrze, że znalazł się w ministerstwie, którego głównym problemem jest prywatyzacja i demonopolizacja telekomunikacji - zaznacza.

Ma 35 lat. Mieszka w Gdańsku. Został posłem z listy AWS w Elblągu. Choć w tym okręgu wybory wygrał SLD, on zdobył najwięcej głosów, ponad 12 tys., spośród wszystkich kandydatów. Sukces wyborczy zapewniła mu telewizyjna popularność - był znany z programów telewizyjnych „Bez znieczulenia” czy „Lewiatan”. W latach 1993-96 prezesał publicznej telewizji.

Prowadzony przez niego telewizyjny program wyborczy niewątpliwie przyczynił się do zwycięstwa AWS. Przyznała to nawet wroga mu „Trybuna”, która pisała: „Programy się udały, Akcja odniosła sukces. Czyżby premierostwo miało być nagrodą?”

Kandydaturę Walendziaka na premiera zgłosił prezes ZChN, Marian Piłka. Był prawie do końca wymieniany na giełdzie kandydatów na premiera. Gdy się okazało, że premierem ma być ekspert, a nie polityk, stracił zainteresowanie tą funkcją. Jego nazwisko wróciło ponownie przy zmianie koncepcji rządu - z „eksperckiej” na polityczną.

Później wymieniano go jako kandydata na ministra spraw wewnętrznych i administracji w duecie z Markiem Kempsem, szefem śląsko-dąbrowskiej „Solidarności”. Ten

ostatni miał być koordynatorem ds. służb specjalnych.

Przyjął stanowisko szefa Kancelarii Premiera, które zostało podniesione do rangi ministra. Zgodnie z rozporządzeniem premiera Jerzego Buzka, miał opiniować nominacje wojewodów. Wywołało to napięcia w relacjach między Walendziakiem i Januszem Tomaszewskim, ministrem spraw wewnętrznych. Wicepremier Tomaszewski twierdzi, że nie ma konfliktu, a napięcia spowodowali prawnicy, którzy wadliwie napisali premierowi rozporządzenie. Opozycja zarzuca Walendziakowi, że z kancelarii próbuje uczynić superministerstwo. On odpowiada, że kancelaria teraz jest ważniejsza, bo nowa konstytucja nadaje premierowi większą władzę.

Polityczne korzenie Wiesława Walendziaka sięgają Ruchu Młodej Polski, opozycyjnej organizacji z lat siedemdziesiątych, której liderem był Aleksander Hall. Arkadiusz Rybicki zaznacza, że grupa RMP, acz nieformalnie, działała już przed rokiem siedemdziesiątym. Walendziak przystąpił do RMP w 1974. - Wiesiek pojawił się w ciekawej grupie drugiego pokolenia młodopolaków obok Jarka Kurskiego, Jacka Rusieckiego, Adama Pawłowicza - wspomina Rybicki. Dodajmy, że byli w niej bracia Arkadiusza. Rybicki pamięta, że Walendziaka zawsze pasjonowała polityka.

Na przełomie lat 1980/90 był redaktorem naczelnym pi-

sma „Młoda Polska”, ale w tamtych latach nie było zapotrzebowania na ambitne teksty polityczne i pismo upadło. Potem pracował w „Dzienniku Bałtyckim” na stanowisku szefa magazynu „Rejsy”. A gdy powstała prywatna Telewizja Polsat, został jej dyrektorem programowym.

- On bardzo dobrze rozumiał, że o jasności wyводу, czy przekazu decyduje poparcie dla idei. Kmunikacja społeczna to jego specjalność - tłumaczy Rybicki - dyrektor programowy Agencji Filmowej „Profilm”, w której powstawały programy Walendziaka.

- Z Walendziakiem, bardzo dobrze, mi się pracowało, to mój bliski przyjaciel. Na pewno był to dla nas trudny okres, gdyż mieliśmy przeciwko sobie Ministerstwo Finansów, NIK, radę nadzorczą. Nieprzychylnie patrzyli na nas także pracownicy telewizji: albo z powodów politycznych, albo byli przeciwnikami naruszania starych struktur. A my chcieliśmy zreformować telewizję, aby sprawnie funkcjonowała w warunkach telewizyjnego rynku - wspomina pracę w telewizji za prezesury Walendziaka Marek Zdrojewski, minister łączności.

- Do dziennikarstwa już nie wróć - mówił w sierpniu, gdy zdecydował się kandydować do Sejmu. Wybrał polityczną karierę. Uznawany jest za przywódcę „pampersów” - młodego pokolenia prawicowych polityków.

Wcześniej był krótko w ZChN, a potem w Partii Konserwatywnej Halla, w której zawiesił członkostwo po wyborze na prezesa telewizji. Teraz znalazł się w Komitecie Organizacyjnym Ruchu Społecznego AWS. Jego koledzy z Partii Konserwatywnej,

a obecnie Stronnictwa Konserwatywno-Ludowego są zadowoleni, że ich opuścił. Arkadiusz Rybicki ma nadzieję, że będzie łącznikiem pomiędzy nową partią a swym dawnym środowiskiem; w końcu są razem w jednej koalicji AWS.

Barbara Madajczyk-Krasowska



Marek Zdrojewski - minister łączności. Wychowywał się na księżkach Conrada.

Fot. Ciepły

Nasze Rozmowy

Każdy potrzebuje pozytywnego wsparcia. I choć znaczenie tego faktu jest dla wszystkich oczywiste, w naszym kręgu kulturowym takie zachowanie uważane jest za brak charakteru i oznakę słabości.

Rozmowa z psychologiem klinicznym

mgr Irenę Leszczyńską



Fot. Maciej Kostan

Życzliwość, jak wirus

- Dzisiejszy dzień ogłoszono Dniem Życzliwości. Człowiek życzliwy to ktoś...

- ...uśmiechnięty, pełen ciepła i dobrych słów dla innych, kto chętnie udziela wsparcia. Choć można też uchodzić za życzliwego w negatywnym tego słowa znaczeniu.

- Jak w wierszyku Kerna: „Pani mąż jest u jednej dziwy./ Kto mówi?/ Życzliwy”.

- To chyba bardziej polska odmiana tego uczucia.

- Chyba jednak uniwersalna. Czy życzliwość może być interesowna?

- Z definicji wynika, że jest to serdeczność bez oczekiwania wzajemności. Ale jednak chyba nie do końca, opiera się bowiem na złotej regule: nie czyn drugiemu co tobie niemiłe. Czyli patrząc odwrotnie: czyni dobrze, to i dobro otrzymasz w zamian. Kluczowym pojęciem życzliwości jest poczucie empatii, czyli zdolności wyobrażenia sobie uczuć drugiej osoby. W takim przypadku udzielenie pomocy jest równoznaczne z nagrodzeniem siebie: już nie odczuwamy przykrości w imieniu tego kogoś. Zatem o całkowitej bezinteresowności mówić trudno.

- Może też wynikać z poczucia winy?

- Oczywiście. Ludzie, którzy sądzą, że skrzywdzili kogoś, są bardziej skłonni do życzliwych zachowań, choć niekoniecznie w stosunku do tej samej osoby. W pewnym amerykańskim supermarkecie zrobiono eksperyment: mężczyzna wręczał kobietom aparat i prosił je o pstryknięcie mu zdjęcia. Część pań wmawiał, że aparat ten zepsuły. Następnie przez sklep puszczono dziewczynę z torbą tak pełną zakupów, że wypadały z niej produkty. Okazało się, że ponad 55 procent pań, które „popsuły” aparat rzuciło się do pomocy, i tylko 15 proc. z grupy bez poczucia winy.

- Podobnie chyba zachowujemy się na szosie?

- Oczywiście. Gdy przepuszczamy uprzejmie inny samochód robimy to w nadziei, że on też kogoś przepuści. Albo przed chwilą ktoś przepuścił nas.

- Czyli życzliwość budzi życzliwość.

- Bo to jest jedno z bardziej zaraźliwych uczuć.

- Szkoda tylko, że nie ma się od kogo zarażać.

- Trudno rzeczywiście znaleźć „dawcę”. Każdy potrzebuje pozytywnego wsparcia, gdyż odbieranie życzliwości od innych powoduje, iż zaspokajamy trzy fundamentalne potrzeby: bezpieczeństwa, poczucia

własnej wartości i uznania. I choć znaczenie tego faktu jest dla wszystkich oczywiste, w naszym kręgu kulturowym nie jest stosowane. Przeciwnie - uważane jest za bezsensowne, wstydlive, wyraz braku charakteru i oznaka słabości. Zdecydowanie chętniej udzielamy wsparcia negatywnego.

- Skrytykować, zdołować i zwymyślać by nie wyjść na mięczaka?

- No właśnie. Życzliwość okazywana przełożonemu uważana jest za lizusostwo, a znowu wielu szefów obawia się, że nagradzany pracownik będzie tak ochoczo podnosił swoje kwalifikacje, że szybko stanie się zagrożeniem. By nie karcić pochwałami potencjalnego rywala, chętniej udziela nagan. Przy okazji przekonany jest, że zewnętrznie wzmacnia swoją pozycję, tymczasem tylko skutecznie psuje atmosferę w pracy. Zganiiony pracownik skarci z kolei swojego podwładnego, ten swojego...

- Aż na końcu oberwie dozorca.

- Bo fala negatywnych impulsów przekazywana jest jak iskra. Na szczęście do brych również - gdy szef wpadnie w wyśmienitym nastroju, od razu polepsza się atmosfera.

- Przecież każdy wie, że lubi być chwalebny, a przez usta nie chce mu przejść komplement.

- My nawet nie umiemy przyjmować pochwał. Na stwierdzenie: - Ach, jaki masz ładny sweter!, zamiast powiedzieć z uśmiechem: - Dziękuję, wołamy: Co ty, stary, kupiony w lumpeksie. Albo: - Sweter może niebrzydki, ale zobacz jakie mam straszne włosy. To samo robimy z zapytaniem: - Jak się czujesz? - i natychmiast wyliczamy gdzie nas łapie.

- Nauka bardzo zgrabnie określa rodzaj uczuć jakie sobie okazujemy.

- Psychologia udzielanie wsparcia dzieli na cztery grupy. Pozytywne bezwarunkowe: lubię cię, kocham cię (rodzice, zakochani); pozytywne warunkowe: lubię cię

bo jesteś grzeczną dziewczynką, itp.; negatywne warunkowe: nie lubię gdy tak wrzeszczysz, gdy się tak zachowujesz; i wreszcie negatywne bezwarunkowe: ty głupia krowo, ty imbecylo, ty idioto. W naszym społeczeństwie najczęściej obserwujemy niestety to ostatnie. Tego typu „wsparcie” służy do tego, by komuś dopiec do żywego i wykazać agresję w sposób nie przemyślany.

- A stosunek do siebie samego?

- Też są cztery stopnie. Ja jestem OK - ty jesteś OK: takie uczucia ma osoba życzliwa bezwarunkowo, dobrze przystosowana psychologicznie, wie na co ją stać i umie słuchać innych. Ja nie jestem OK - ty jesteś OK: to coś w rodzaju kupki nie-szczęścia, znajdującej nieco przyjemności w poniżaniu siebie, tacy psychiczni masochiści. Ja jestem OK - ty nie jesteś OK - postawa charakterystyczna u osób z cechami psychopatycznymi, uważającymi się za wcielenia doskonałości i nie potrafiących okazywać współczucia. Ja nie jestem OK i ty nie jesteś OK - to typ człowieka absolutnie przegrywającego, postawa prowadząca do wniosku że świat jest beznadziejny i nie warto żyć. To potencjalne ofiary sekt.

- Czy przynależność do konkretnej grupy jest nam przyrodzona, czy też możemy nauczyć się postępowania mniej destrukcyjnego?

- Nie tylko można, ale i trzeba. Daniel Goleman w swej książce „Inteligencja emocjonalna” pokazuje nawet jak to robić. Czymże ona jest? To umiejętność współzycia z ludźmi, rozmawiania z nimi, słuchania, odczytywania ich uczuć, ponieważ zbiór cech świadczących o inteligencji emocjonalnej świadczy o przystosowaniu do życia. Tego powinni uczyć szkoły.

- Najpierw chyba nauczycieli. Przynajmniej dużą ich część.

- Myślę, że zrobienie takiego sensownego programu pedagogicznego jest naszą szansą na powiązanie rwących się więzi społecznych. I nie należy bać się, że grozi nam przesłodzenie stosunków międzyludzkich. Mało - jeśli tego nie zrobimy, zalewać nas będzie wszechobecna agresja.

Rozmawiała Małgorzata Sokołowska

Od dwóch lat Niemcy eksportują więcej do Europy Środkowej niż do USA. I więcej też stąd importują.

Przed Ameryką

Rejsy po gospodarce

Niewielu z nas zdaje sobie sprawę jakie znaczenie mają nasze, środkowoeuropejskie rynki dla Niemiec. Już w 1995 roku zarówno import z Europy centralnej do Niemiec jak i eksport z Niemiec do tej części kontynentu przekroczył obroty eksportu i importu między Niemcami a USA. W 1996 roku różnica ta jeszcze wzrosła. Jesteśmy ważniejsi od Ameryki, co rzadko się zdarza.

Niemieckie bezpośrednie inwestycje w Polsce wzrosły w 1996 roku ponaddwukrotnie w porównaniu z rokiem wcześniejszym. Po raz pierwszy nasi zachodni sąsiedzi zainwestowali więcej w Polskę niż na Węgrzech i w Czechach. Suma 2,3 mld marek (ponad 4,5 mld złotych) to potężny zastrzyk dla polskiej gospodarki. Tym bardziej, że coraz więcej inwestują wielkie korporacje przemysłowe (Hochtief, Dyckerhoff) i banki (Deutsche Bank, Bayerische Vereinsbank).

Jedni biją z tego powodu na alarm: że nas wykupują za bezcen. Inni uważają to za sygnał pozytywny. Gospodarka krzepnie, stabilizuje się i obokrajowcy chcą w nią inwestować. Antyniemieckie fobie słabną. Potwierdzają to liczne badania opinii publicznej. Obawy, iż rosnące zaangażowanie Niemiec w polską gospodarkę prowadzi prostą drogą do germanizacji, coraz rzadziej są traktowane poważnie. Niemcy chcą u nas zarabiać, ale wątpią by chcieli sobie brać na głowę rządy krnąbrnym narodem. Trudno też zapomnieć, iż to Niemcy, a nie np. nasi „wypróbowani” przyjaciele - Francuzi wspierają najsilniej polskie starania o wejście do Unii Europejskiej. Czujemy się zagrożeni raczej ze wschodu niż z zachodu.

Coraz częściej niemieckie firmy zatrudniają na kierowniczych stanowiskach Polaków. Ba, uczą się od naszych menedżerów, lepiej rozumiejących tutejsze obyczaje i realia.

To wszystko nie oznacza, rzecz jasna, byśmy mieli oddawać za bezcen nasz majątek cudzoziemcom. Ale też musimy pogodzić się, że wspólna Europa to przemieszczenie kapitału, ludzi, kultury. Trzeba się do tego przygotować. Również mentalnie, co zapewne jest najtrudniejsze.

Bezpośrednie inwestycje zagraniczne są czynnikiem bardzo wrażliwym na sytuację kraju przyjmującego. Inwestorzy starannie obserwują gospodarkę, życie polityczne, problemy społeczne. Oceniają perspektywy. I wyciągają wnioski. W ostatnich latach są one, co potwierdzają statystyki gospodarcze, pozytywne. To znaczy, że nasza sytuacja nie jest coraz gorsza, jak sugerują niektórzy. Ale to już temat na zupełnie nowy felieton.

Piotr Dominiak

Komuna przerobiła cnoty
w ich karykaturę: gospodarność
w pazerność, pragmatyzm w oportunistę.

Wielkopolska zagadka

Pomysły humanisty

Dociera do mnie regularnie lokalne pismo miasta i gminy z południowej Wielkopolski. Piszę „Wielkopolska”, a nie „województwo takie a takie”, ponieważ gierkowska reforma administracyjna poćwiartowała te tereny i dała im za stolice wojewódzkie miasta, z którymi mieszkańcy nijak się nie identyfikują, ba, mają je w lekkiej, choć oportunistycznie skrywanej pogardzie. Za prawdziwą stolicę regionu po dawnemu uważają Poznań i ciągle mówią: „my, Poznaniacy, u nas, w Poznańskim”.

Otóż, sądząc po wspomnianym piśmie, ci Poznaniacy z wyboru modelują swój autoportret tak, że ma rysy zdecydowanie chrześcijańsko-narodowe. Zabiegają o to, by ich miasto miało świętego patrona, a gdy biskup spełnia ich życzenie, relacja z uroczystości otwiera numer pisma. Każda zresztą uroczystość rozpoczyna się mszą dla uczestników, do wyjątków należy numer, gdzie by nie było zdjęcia z osobą duchowną. Co rusz się coś poświęca, modli się w intencji itd., publicystyka zaś obowiązkowo odwołuje się do wartości chrześcijańskich.

Materiały historyczne, poświęcone wybitnym obywatelom miasta, przedstawiają z reguły tych, których za PRL określano by jako reakcjonistów, często z dodatkiem „burżuazyjnych” lub „obszarniczych”. Ale nie określano, bo ich wypędzono z działalności i pamięci społecznej, udawano, że ich w ogóle nie było. Teraz przywraca się im godność, przypomina zasługi, ich nazwiska nadaje ulicom. Wśród patronów ulic są endecy, chadecy, peeselowcy Mikołajczyka (ten doczekał się i specjalnej sesji), nie ma ani jednego lewicowca.

Wydawałoby się, że takie miasta to naturalna ostoja, ba, zgoła bastion niezdobyty prawicy. A właśnie że nie!

Cztery dni po uroczystości religijnej, kiedy całe miasto modliło się na rynku pod figurą „umiłowanego od wieków” świętego męczennika, odbyły się wybory. Przy frekwencji niższej niż średnia krajowa (mimo wezwań biskupa: „obudźmy się i bądźmy wrażliwi, gdy ktoś chce rugować Chrystusa z naszego życia”), ale to jeszcze nic. W mieście zdecydowanie i druzgocąco zwyciężyła komuna: SLD dostał 30,6 proc. głosów, PSL - 24,4, podczas gdy AWS - 17,7, a UW - 10,3. Czyli sumując: układ peerelowski 55 proc., solidarnościowy: koto połowy tego.

I tak mniej więcej było w całej Wielkopolsce. Można to skwitować porzekadłem „modli się pod figurą, a ma diabła za skórą”, ale ta diagnoza niczego nie wyjaśnia. Trzeba by się przyjrzeć, co to za diabły pod pobożną skórą Wielkopolan (ale także Pomorzan) siedzą. Są to diabły dosyć podobne, jako że Wielkopolska i Pomorze, dawny zachód Polski, ma podobną mentalność i „sposoby na życie”.

Wedle moich przypuszczeń, opartych na rozmowach także po wyborach '93 i prezydenckich, półwiecze komuny przerobiło dawne cnoty Wielkopolan i Pomorzan w ich karykaturę: gospodarność - w pazerność, pragmatyzm - w oportunistę, praworządność - w korupcję. Dawanie łapówek spotykało się z pełnym zrozumieniem („bo jak z nimi inaczej dojść do ładu”), zawłaszczanie „państwowego” - słusznym prawem do własności. Na tak użyźnionym gruncie rozkwitła uwłaszczona nomenklatura i będzie kwitła jeszcze długo, w cieniu świętych figur i patriotycznych tablic. W końcu - co one komu szkodzi?

Janina Wieczerska



Lucyna Legut - zbliżenia

Życie

Nie uprawia wielkiej literatury. Jej książki są pogodne i zabawne. Aktorka o potężnej sile komicznej nie może chyba być autorką poważnych, głębokich, intelektualnych tekstów. O swoim piśmarstwie mówi tak:

- Jestem artystką i ani trochę intelektualistką. Lubię pożartować, nienawidzę napuszonej uczoneści i koturnu.

Lucyna Legut, wybrzeżowa aktorka i pisarka, skupiła ostatnio na sobie uwagę polskich mediów. Sprawiała to Agata Buzek, córka premiera, wyznając w telewizji, że ulubioną domową lekturą była książka „Piotrek zgubił dziadka oko”. Autorka, Lucyna Legut, nie spodziewała się, że w ślad za tym zwierzeniem pójdzie nie tylko zainteresowanie jej osobą, ale i wznowienie dawno już wydanej i wyczerpanej książki. Trzecią jej edycję przygotowuje łódzkie wydawnictwo „Akapit Press”.

Lucyna Legut, wybrzeżowa aktorka i pisarka, skupiła ostatnio na sobie uwagę polskich mediów. Sprawiała to Agata Buzek, córka premiera, wyznając w telewizji, że ulubioną domową lekturą była książka „Piotrek zgubił dziadka oko”. Autorka, Lucyna Legut, nie spodziewała się, że w ślad za tym zwierzeniem pójdzie nie tylko zainteresowanie jej osobą, ale i wznowienie dawno już wydanej i wyczerpanej książki. Trzecią jej edycję przygotowuje łódzkie wydawnictwo „Akapit Press”.

Między sztalugami a sceną

Ma kilka artystycznych zawodów. Akademii Sztuk Pięknych nie skończyła, zaliczyła tylko trzy lata. Należy do pokolenia, które musiało nadrobić opóźnienia i zaległości spowodowane wojną. Przed południem chodziła więc do Akademii na malarstwo, po południu - do gimnazjum. W ciągu pół roku robiło się program całego roku. Ale zajęcia w Akademii trwały przez cały dzień. Wieczorem mogła już tylko zdążyć na rysunek. Powstawały luki w wiedzy teoretycznej. Liczyła, że uzupełni te braki jako wolny słuchacz, ale profesorowie się nie zgo-

dzili. Wtedy zresztą już ją pochłoniął teatr.

Do szkoły teatralnej trafiła - jak twierdzi - „niechcący”. Mama krzywiła się na malarstwo, bo co to za zawód? Siostra, Ludmiła, była już aktorką, dostawała pensję.

- Poszłam jej śladem, czego czasem żałuję, bo może - gdyby mnie na te studia nie przyjęli - skończyłabym jednak Akademię. Mogłam też - tak jak mój brat - studiować dziennikarstwo, bo i tam zdałam pomysłnie egzamin. Nawet zaczęłam chodzić na wykłady.

W szkole teatralnej z pasją malowała portrety profesorów i kolegów. Wisiały na korytarzu. Jeszcze ma trochę szkiców i rysunków z tamtych czasów, ale gdzie się podziały obrazy, Bóg jeden wie. Pewnie poginęły, gdy uczelnia zmieniała siedzibę.

Mistrz Makuszyński

Pisać zaczęła dawno. Jeszcze w szkole podstawowej popeliła opowieść o leśniczance zakochanej w leśniczym o drewnianej nodze. Żartuje, że wczesne fascynacje defektami i ułomnościami nie opuściły jej i w dorosłym życiu. Jeden z panów pragnących zyskać kiedyś jej względy złożył się: czy mam sobie rękę obciąć, żebyś zwróciła na mnie uwagę?

W rozwijaniu literackich i plastycznych talentów ważną rolę odegrał Kornel Makuszyński i jego „Koziołek Matołek”, ukochana i znana na pamięć lektura dzieciństwa. Wzorowała na niej własne wierszowane bajki, które sama ilustrowała. Na użytek szkoły powstawały też wierszowane afisze.

Nie była to jedyna dziedzina, w której jako uczennica - wcale nie prymuska - starała się wykazać i być przydatną. Opiekowała się szkolnym akwariem, występowała w uczniowskim teatryku, pisywała różne okolicznościowe teksty.

- Z ortografią zawsze miałam kłopoty. Matury bym nie zdała, gdyby na to nie przymknęto oczu. Kiedyś mawiało się o takich ludziach „tuman”, dziś traktuje jak chorych. Władzisław Sadkowski, pierwszy recenzent jej pierwszej książki „Życie artystki Kingi Kidney”, zdziwił się, że utaletnowana autorka uporczywie posługuje się manierą błędów ortograficznych. Wydało mu się nieprawdopodobne, żeby być z ortografią aż tak na bakier.

Teraz i tak już się podciągnęłam w poprawnej pisowni, ale ze słownikiem ortograficznym w trakcie pracy nigdy się nie rozstaję.

Autorka nadworna

Po latach, już jako aktorka Teatru „Wybrzeże”, była zastępową „nadworną” autorką uświetniającą swym piórem (pędzlem i kredką również) rozmaite zakulisowe zdarzenia

Lucyna Legut - rocznik 1926, ur. w Suchoj Beskidzkiej.

■ aktorka - dyplom w Państwowej Wyższej Szkole Aktorskiej w Krakowie (1950); na scenach Krakowa i Torunia, od 1956 roku w Teatrze „Wybrzeże”;

■ malarka - studiowała w krakowskiej ASP; uprawia malarstwo portretowe, ilustruje własne książki.

■ pisarka - autorka książek dla dorosłych i dzieci, sztuk teatralnych słuchowisk radiowych i widowisk telewizyjnych, a także - ostatnio - scenariuszy telewizyjnych seriali. Laureatka licznych konkursów literackich.

■ mieszka w „mrówkowcu” na Przymorzu, jeździ fiatem 125 p. Marzy o wiejskim domku z trzema pokojami i łazienką.



Lucyna Legut - ulubiona pisarka rodziny premierostwa Buzków.

zakulisowe



• Pisanie raz przychodzi łatwo, innym razem ciężko. Dlatego najbardziej lubię malować - na zdjęciu L.L. z portretem przyjaciółki, Niny Hintzler.

- koleżeńskie jubileusze, premierowe wieczory, nieoficjalne spotkania. Z okazji wizyty Omara Sharifa na przykład napisała dalszy ciąg „Doktora Żiwago” przez kolegów udatnie dla gościa zainscenizowane i na żywo przez Jacka Godka tłumaczone.

- Zawsze bardzo lubiłam życie zakulisowe, a scenę z biegiem czasu coraz mniej. Męczyły i nudziły mnie długie próby, a publiczność - peszyła. Najbardziej w trakcie występów estradowych i spotkań autorskich, bo tam nie ma zbawiennej rampy i widz siedzi artystycznie dosłownie „na nosie”.

Z tego też powodu nie od razu dała się namówić Maciejowi Nowakowi do udziału w programie kabaretowym „Dobry wieczór z ratuszu”. Ale w końcu się zgodziła.

- Światło w ratuszowej sali jest na szczęście takie, że nie dostrzegam pojedynczych twarzy i grymasów, tylko masę ludzi.

Szkoda, że film mnie jakoś nie wrywał, bo kamerę lubiłam. Ona mnie nie paraliżuje, lecz przeciwnie - wyzwala lawinę pomysłów. Cieszę się więc, że jak dobrze pójdzie, od stycznia rozpocznę zdjęcia do komediowego serialu pokazującego Polskę i jej atrakcje.

Debiut z zemsty

W dorosłym życiu długo nie przyznawała się do nieśmiałości literackich prób. Do debiutu pchnęła ją chęć zemsty na pewnym panu, który oszedł po dziesięciu latach. Porzucona, postanowiła działać i pokazać, że świetnie sobie bez niego poradzi. Do Krakowa wysłała bajkę „Świerszcz

mają sklep z instrumentami” z własnymi ilustracjami, w Gdańsku ukazała się powieść „Życie artystki Kingi Kidney”.

- Nie mam żalu, że mnie rzucił, bo pewnie nigdy bym się ze swoim pisaniem nie ujawniła, brakowałoby mi odwagi.

Najbardziej jednak lubi malować. Cieszy ją to. A pisanie raz przychodzi łatwo, innym razem okrutnie ciężko. Z największą przyjemnością tworzy dla dzieci. W bajkach może puścić wodze fantazji, poszaleć. W biurku leżą cztery nie wydane książki dla najmłodszych.

- Najlepiej pisze mi się na zamówienie. Do szuflady nikt przecież pisać nie chce.

Przez długie lata posyłała swoje teksty na rozmaite konkursy. Zbierała nagrody. Dostrzegła przy tym pewną prawidłowość: prace wcześniej przez kogoś odrzucone bywały wysoko oceniane przez jurorów. No więc jak tu nie mówić o szczęściu? Mama nazywała ją dzieckiem szczęścia, w czepku urodzonym.

Teraz konkursów organizuje się niewiele, ale stara się nie przegapić i tych nielicznych. Na milenijny, gdański, posłała dwie sztuki, solidnie zgłębiwszy tajemnice pradziejów grodu nad Motławą. Czekająca na rozstrzygnięcie, wreszcie zapytała organizatorów, co się dzieje. Odpowiedziano, że nawet komisji konkursowej nie powoływano, bo nadeszły tylko dwie prace. To były te jej autorstwa...

Raz jednak w konkursie znowu się jej powiodło.

- Mało nie oszalałam ze szczęścia, gdy zadzwonili od Filipa Bajona, zachwyceni moim scenariuszem - „Sezon komediantów”. Zobowiązałam się nawet do tego, by przez rok nikomu tego scenariusza nie odstępować. Szukali sponsorów, nie znaleźli, film nie powstał. Ale radości, której mi to przyniosło, nikt mi nie odbierze.

Wokół teatru

Słuchowiska radiowe, z których zrealizowano ponad 40, przyniosły jej 20 nagród, książki - dwie.

Sztuk teatralnych stworzyła mnóstwo. Wystawiono 18, w tym kilka adaptacji bajek Jerzego Afanasiewa i „Krainy 105 tajemnic” Zbigniewa Żakiewicza.

Aktor, który pisze dla sceny, ma przewagę nad innymi autorami. Lepiej posługuje się dialogiem, łatwiej zbudować mu sztukę. Nie rządził sobie z tym nawet najlepsi pisarze.

Pisuje przeważnie o teatrze, z czego robiono jej zarzuty. Nawet w „Miłosnych niepokojach pana Zenka”, o kierowniku sklepu z zieleniną, pojawia się wątek teatralny.

- Znam ludzi i środowisko. Literacko „obrabiam” znanych sobie ludzi i wydarzenia, zasłyszane anegdoty. Bywało, że wśród bohaterów moich książek koledzy rozpoznawali siebie. Ale czasem ktoś miał żal, że go pominęłam, bo po prostu i na szczęście nie znalazł związku między swoją osobą a książkową postacią, choć wszyscy go w niej rozpoznawali.

Staram się nie być złośliwa ani okrutna. Jedyna moja na-

prawdę okrutna książka to „Igraszki z miłością i śmiercią”, też osnuta wokół autentycznej postaci, która tragicznie skończyła życie, nieumyślnie je sobie odbierając. Książka się jeszcze nie ukazała, może kiedyś doczeka wydania.

Z ironią i humorem

Na scenie jej żywiołem zawsze była komedia. W książkach celuje ironią, spogląda na świat z humorystycznego dystansu. Fantazję i poczucie humoru ma chyba po mamie, w której rodzinie nie brakowało też artystów - samorodnych i utalentowanych.

Humor pozwala dojrzeć coś zabawnego nawet w zdarzeniach tragicznych. Wyzwała optymizm i nadzieję na niezbadane a pomyślne zarządzenia losu.

- W domowej szufladzie mam „od metra” sztuk teatralnych i sporo książek niepublikowanych. Ponieważ wielu edytorów oficjalnie deklarowało chęć publikowania polskich autorów, oferowała im te materiały. Dziękowali, więc wracały do szuflady. Sopoćkiej oficynie proponowała wznowienie książeczki „Piotrek zgubił dziadka oko, a Jasiek chce dożyć spokojnej starości”. Bez echa. Kto mógł przypuścić, że niedawna telewizyjna wypowiedź Agaty Buzek, córki nowego premiera, sprawi, że nagle wszyscy zainteresują się tą zabawną książką „o dzieciach, nie dla dzieci”, że przy tej okazji przypomną sobie o autorce. Książka zostanie wkrótce wydana. Może i inne doczekają jeszcze druku?

Anna Jęsiak

Fot. Robert Kwiatek

Od wspomnień o ingerencjach cenzury Chrzan przechodzi do losów „aktywu”, integralnie związanego z Peerelem.

Kogo dreszcz przenika na widok Michnika?

Chwyty dozwolone

Cenzura zajmowała w Domu Prasy skrzydło budynku, chronione kratą. Wewnątrz przechowywano Księgę Zapisów, strzeżoną niczym Arka Przymierza w Izraelu. Za kratą znikali redaktorzy naczelni, wzywani telefonem. Tam toczono pertraktacje w sprawie kwestionowanych publikacji: - Sami widzicie towarzyszu, że w trzecim akapicie od końca tkwi wroga aluzja... Z pozycji ofiary papierowych bojów o wolność słowa wspominam z leżką felietonik „Drugiemu na rowerze Duet”, bo nie ujrzał druku. Opisałem w nim sytuację rowerzysty siedzącego z tyłu na tandemie. Wprawdzie konstruktor przewidział dlań kierownicę, lecz nieruchomą, co dawało tylko pozór kierowania. Wszystko zależało od siedzącego na przedzie - wyjście z wiru, omijanie wybojów i unikanie kolizji. Cóż kiedy cenzor dopatrzył się analogii do PZPR i tzw. sojusznich stronnictw, ZSL i SD. Ich atrybutem było obsadzanie „z klucza” posad zastępców, nie decydujących o niczym, ale profitujących z talonów, asygnat, bonów i innych przywilejów reglamentowanego pseudorynku.

Czasem nachodził redakcję szef cenzury z chmurną miną. Niósł „szczotkę” czyli próbny wydruk z obrzydzeniem, z jakim wynosi się na śmietnik zdechłego szczura. Zza tapetowanych drzwi dochodziły odgłosy wymiany poglądów - i tak kończącej się wycofaniem utworu z druku. Takie Waterloo walcowano potem na zebraniach redakcyjnego zespołu - i każdy, świadomie czy podświadomie, stawał się cenzorem samego siebie. Pisywał ostrożnie, unikając jak ognia tematów tabu: sensu budowy Huty Katowice i linii szerokotorowej do Krzywego Rogu na przykład, skąd przywożono lichą rudę i piasek w zamian za gotowe wyroby. W miarę upływu „gierkowskiej dekady” i załamania się niby-prosperity tematów tabu przybyszało.

Mimo pobytu pod wspólnym dachem symbiozy cenzorów i dziennikarzy raczej nie było, z wyjątkiem kółka miłośników trunków, spotykającego się w bufecie. Gdy w stanie wojennym wyleciałem jak z procy z RSW Prasa-Książka-Ruch z zakazem wykonywania zawodu - szef cenzury, choć dużo młodszy, ostantacyjnie przestał się kłaniać. Za to w 1989 z okazji wydania przez kontestujące środowisko już legalnie „Tygodnika Wyborczego” cenzura prawie nie ingerowała, po czym po wyborach 4 czerwca skonała powoli naturalną śmiercią. I bardzo do- brze.

Zastanawia mnie jednak los cenzorów. Ludzi po studiach, odczytanych, bystrych, w lot wyczuwających co autor miał na myśli... Byli w wieku produkcyjnym. Czy funkcja nadzorców słowa, dziś uważana za obrzydliwą, przekreśliła im życiowe kariery? Czy rząd nad duszami wspominają z nostalgią? Czy dreszcz ich przenika, gdy widzą Michnika - w telewizji publicznej, a nie w kajdanach? Co czują na widok witrzyn pełnych dzieł kiedyś ści- ganych, konfiskowanych, mielonych na papier toaletowy? Co się dzieje - uogólniając problem - z niezwykłymi milicjantami, esbekami, prokuratorami, sędziami, politykami LWP, aparaczkami PZPR, aktywem TPPR, TWP, LPŻ itp. powiązanych z Peerelem bytów? Jest ich co najmniej milion, a to już przecież problem.

Jan Chrzan

Gdański artysta anatom

Memling i medycyna

Sam pomysł, żeby na słynny obraz „Sąd Ostateczny” Hansa Memlinga spojrzeć okiem lekarza anatoma, dla samego anatoma nie jest być może zaskakujący. Dla osób postronnych - na pewno tak. I sam pomysł, i wyniki.

Jerzy Jankau, od ubiegłego tygodnia doktor naszej Akademii Medycznej, na podstawie pracy o anatomii wybranych postaci najsłynniejszego gdańskiego tryptyku, pytany przez „osobę postronną” wykręca się sianem: - pomysł poddał prof. Marek Grzybiak, późniejszy mój promotor. A dlaczego Memling? Bo na tym obrazie jest wszystko. Tyle postaci (w sumie 184) i tyle możliwości, że nie ma potrzeby szukać u innych, a ponadto geniusz tego człowieka i geniusz tego dzieła...

Skąd jednak u niego - docieka „postronna osoba” - chirurga ze znanego rodzaju lekarzkiego, takie zainteresowanie sztuką? Powiada, że to rodzinne. Ojciec za młodu śpiewał, był barwną postacią żakowskiego ruchu w Gdańsku. Matka - maluje. Jego dziadkom sztuka też była bardzo bliska. On sam, oprócz rodzinnych zainteresowań, również maluje, rysuje, wystawia. Oczywiście - amatorsko. Zawodowo natomiast - jest w trakcie specjalizacji z chirurgii plastycznej, która też wymaga od lekarza znajomości ludzkiego ciała, wymaga też jakiegoś zmysłu estetycz-

nego. Na uwagę, że jest to porównywalne z konserwacją dzieła sztuki, Jerzy Jankau reaguje uśmiechem: - Tak, to piękne porównanie. Konserwator sztuki, konserwator skóry, konserwator ludzkiego ciała. Kupuję.

Jeśli wziąć pod uwagę, że kobiety na tryptyku Memlinga, szczupłe, wiotkie i zgrabne mają - wszystkie nieomal! - charakterystycznie zaokrąglone brzuchy, jakby były ciężarne - to czy nie trafiamy tu na ważki, a przeoczony problem teologiczny? - zastanawiamy się. Co z kobietami zmarłymi w ciąży, co z ich płodami? Przecież mają dusze od poczęcia. Jedne będą zbawione, inne potępione? Bez żadnego grzechu, bo nawet nie pierworodnego (płody nie przyszły jeszcze na świat)? Ani Jankau, ani ja nie czujemy się na tyle mocni w teologii żeby ten problem podjąć. Jankau podkreśla, że jest chirurgiem plastycznym, a nie mistycznym, a rozwiązanie dylematu widzi w piętnastowiecznym ideale kobiecego piękna. Tak właśnie była wówczas widziana kobieta. Trochę podobnie jak dziś, gdy za ideał uchodzą supermodelki: chude tytki

z małymi piersiami, takie Claudie Schiffer a nie np. Violetty Villas. Kształty raczej memlingowskie (ale: płasko-brzuche) niż rubensowskie. Podejrzewa też Jankau, że Memling nie miał, zwyczajnie, zbyt wielu modelek, stąd brak wyraźnego zróżnicowania cielesnego.

A co ciekawsze: i potępione, i zbawione postaci nie różnią się anatomicznie, choć różni je dramatyzm. Zbawieni są - mówi Jankau - wyniośli, spokojni, obojętni, apatyczni. Prawe skrzydło, potępionych, to ekspresja, ruch, paroksyzm. W ułożeniu postaci, wykrzywieniu twarzy. Nie ma tu jednak - anatomicznie - żadnych istotnych deformacji, żadnych widocznych znamion choroby (jak np. na ołtarzu Wita Stwosza), amputacji, żyłaków czy niekompletnych palców u rąk. Anatomiczne nieprawidłowości wynikają głównie z kompozycji: potrzeby wypełnienia jakiegoś miejsca czy - nie bardzo zrozumiałej - potrzeby zasłaniania kobiecych ton. Żadne - dosłownie - kobiece łono nie zostało przez Memlinga pokazane, podczas gdy genitalia męskie - owszem. Choć są to genitalia raczej dziecięce.

Jerzy Jankau:

- Tak, to piękne porównanie.

Konserwator sztuki,
konserwator skóry,
konserwator ludzkiego
ciała. Kupuję.

Nie zapominajmy jednak, że jest to tryptyk ołtarzowy.

Jerzy Jankau podejrzewa też - choć głośno w swej pracy o tym nie mówi - że w dziele Memlinga można dostrzec nawet elementy prześmiewcze, związane właśnie z kobiecym łonem, choć niekoniecznie. Za taki uważa nienaturalnie wyciągniętą rękę potępionca niby to zasłaniającą, ale raczej sięgającą miejsca nie ostatniego przyjemnościowo na kobiecym ciecie, powiedzmy. Lecąc w otchłań potępienia. Jeśli nie jest to prześmiewczość, to z całą pewnością - humor, dowcip. Oczywiście - piekielny, bo i któż by śmiał żartować ze zbawionych?

I kto by - kończąc - przewidział, że szkiełko i oku anatoma tyle może się przydarzyć? On sam nie przewidział jednego: że mianowicie Komitet Obchodów Tysiąclecia Gdańska odmówi tej pracy swojego znaku firmowego. Odmówił jednak, bo to nie boczne drzwi taxi, a skrzydła tryptyku.

Tadeusz Skutnik

Dr Jerzy Jankau, ur. 1965, studia medyczne ukończył w 1993. Obecnie specjalizuje się w chirurgii plastycznej. Stan wolny.



Jerzy Jankau - anatom o duszy artysty.

Fot. Maciej Kostan

CHCESZ POCZUĆ SIĘ BEZPIECZNIE?

Jeszcze dziś zamów jeden z trzech modeli pistoletu alarmowego:

1. Pistolet damski - 6-strzałowy, dł. 100 mm, waga 350 g - 59 zł
2. Pistolet męski - 8-strzałowy, dł. 130 mm, waga 480 g - 69 zł

oraz NOWOŚĆ:

3. Pistolet RK 95 - kopia Walthera PPK - 7-strzałowy, dł. 155 mm, waga 550 g - 110 zł

Wszystkie oferowane pistolety na ślepe naboje 6 mm. Do złudzenia przypominają prawdziwą broń, odstraszą każdego napastnika, głośnym hukem zwrócą uwagę osób postronnych. Jeśli zgubisz się w lesie lub górach, dzięki specjalnej nakładce możesz wystrzelić race, które zlokalizują twoją pozycję. Uatrakcyjnią każdą imprezę oraz wakacyjne wypadki, pod warunkiem, że będą użyte zgodnie z przeznaczeniem.

NIE BĄDŹ CELEM!

UWAGA! DO KAŻDEGO PISTOLETU
DOŁĄCZAMY 100 NABOI GRATIS!

* Płatne dopiero przy odbiorze, koszt przesyłki 6 zł

- | | |
|------------------------------------|--------|
| 1. Pistolet damski: | 59 zł |
| 2. Pistolet męski: | 69 zł |
| 3. Pistolet RK 95 kopia Walthera: | 110 zł |
| 4. Dodatkowe naboje, op. 100 szt.: | 15 zł |
| 5. Kabura (skóra): | 29 zł |
| 6. Szelki do kabury (skóra): | 25 zł |
| 7. ELEKTROSZOKER: | 250 zł |



POLECAMY RÓWNIEŻ:

ELEKTROSZOKERY

KTÓRE:
NIE WYMAGAJĄ ZEZWOLENIA
A ZAPEWNIAJĄ:
100% PEWNOŚCI DZIAŁANIA,
NATYCHMIASTOWĄ OBRONĘ

CENA:
200 ZŁ

- Nie wymagają zezwolenia ani rejestracji
- Dz. U. 76/90 poz. 451 par. 3 z dn. 29.10.90 MSW
- Prosta i bezpieczna obsługa oraz trwała budowa
- Instrukcja obsługi i gwarancja
- Ekspertyza policyjna

Zamówienia telefoniczne:
Zamówienia listowne:

(034) 65-35-70
PH „TESPOL”

42-201 Częstochowa 1
skr. poczt. 237 R-8800/A/94



- płyty gipsowe
- sufity podwieszane
- siding

ponadto:

KOSTKA BRUKOWA
wibroprasowana

**SPECJALNA
OFERTA
PROMOCYJNA**



GDĄŃSK
ul. Na Zboczku 105
tel.: 32-67-66

GDĄŃSK
ul. Młaki Szlak 48/50
tel.: 35-72-32

TCZEW
ul. Gdańska 33
tel.: 31-58-21

Po targach „Natura i życie”

Telepatia, tarot i węź Eskulapa

O atmosferze targów „Natura i życie” zdecydowała indywidualność dwóch wrózek: Moniki Dymeckiej, która je zorganizowała i Stefani Żelaznej, autorki i wydawcy własnego czasopisma. Rozmowa z nimi przekonała mnie, że świat tajemniczych zjawisk - budzących wprawdzie ogromne zainteresowanie, ale traktowanych na ogół z lekkim przymrużeniem oka - może być prawdziwą życiową pasją.

Monika Dymecka stała się już instytucją, bo jej nazwisko jednoznacznie kojarzy się ze spotkaniami nie tylko z tej Ziemi, a obecne targi cieszyły się tak samo dużym zainteresowaniem, jak te „Od wahań do gwiazd”.

Żaroodporna Monika

Potrafi chodzić po ogniu, nie doznając najmniejszych obrażeń i obiecuje zrobić pokaz wiosną przyszłego roku w Gdańsku.

- Wymaga to pewnych przygotowań. Miejsca, gdzie by nam pozwolono rozpalić ognisko i w miarę ciepłej pogody, bo trzeba poczekać, aż polana zamieni się w żar. A chodzić po ogniu może każdy, nawet pierwszy lepszy przechodzień z ulicy, gdy się go wprowadzi w odmienny stan świadomości - mówi.

Monika wierzy, że prezentowane na targach umiejętności i przedmioty o niezwykłych właściwościach stano-

wią wstęp do XXI wieku. A więc do czasów, gdy nie będzie już potrzebny telefon, bo ludzie perfekcyjnie opanują umiejętność kontaktu telepatycznego.

Z każdym wystawcą, wykładowcą, wróżem, kręgarzem kontaktuje się osobiście, zapraszając do udziału w spotkaniu, sama załatwia formalności związane z wynajmem sali i dziesiątkami spraw łączyących się ze sprawnym działaniem tak dużej imprezy. Po uzdrowiciela Rodolfo B. Cabe jeździła aż na Filipiny, ścigała też ludzi z Australii, Chicago, Londynu. Na co dzień współpracuje z radiem, wygłaszając opracowane przez siebie horoskopy.

Niezatapialna Stefania

Stefania Żelazna nie tonie. Może tak po prostu, bez żadnego ruchu leżeć godzinami na wodzie i np. czytać książkę. - W dawnych czasach spalono by mnie na stosie, a dziś budzę tylko niepokój swojej rodziny - mówi ze śmiechem.

W Trójmieście znana jest jako wróżka Stefania, a na targach głośno było o wydawanym przez nią czasopiśmie. Jeden z działów tego pisma nosi tytuł „Świat według wróżki Stefani”.

- Opisuję w nim ludzi, którzy przychodzą do mnie, by dzięki tarotowi odnaleźć swoje ścieżki - mówi.

Nie jest to cała prawda, bo jej zbeletryzowane historyjki napisane są z talentem i mają ogólnoludzkie przesłanie. O kartach, którymi się posługuje, mówi w taki sposób, jakby tarot był czymś żywym.

- Nie można mówić o „posługiwaniu się” tarotem, bo to jest nadużycie - protestuje. - To tarot pozwala mi z sobą być. Jest moją pasją, moim ukochaniem i być może dlatego nigdy nie zawiódł nie tylko mnie, ale także ludzi, którzy poprzez mnie z jego mądrości korzystają. Jest to żywy twór, żywa materia, ogromny przekaz energetyczny i intelektualny, tworzący określoną konwencję. Jeśli się ją szanuje, tarot staje się najbardziej wiernym przyjacielem. Otwiera przed nami świat, podsuwa skojarzenia, uaktywnia „trzęcie oko” intuicji i podświadomości. Symbole na kartach tarota - a jego historia jest bardzo długa - są ciągle takie same, zaś interpretacja wzajemnych powiązań to już ten ponadmysłowy przekaz, który trzeba przyswoić, aby się z nimi dogadać. Do takiego partnerstwa długo się dorasta.

- „Ponadmysłowy przekaz” to tajemnicze sformułowanie - mówię.

- Bo ja jestem wróżką - odpowiada.

Skończyła bibliotekoznawstwo a nie psychologię, którą się jej przypisuje. - Psychologiem jest tarot - wyjaśnia z głębokim przekonaniem. - To on potrafi na podstawie kilku kart określić osobowość, predyspozycję, charakter człowieka.

Gdy upieram się, że w jej „na ogół ezoterycznym piśmie” (tak brzmi podtytuł) są podobne działy, jak we wszystkich innych tego samego typu, reaguje żywo. - Ale cały magazyn przepełniony jest duchem tarota. W swojej intencji pismo ma być przyjacielem, talizmanem przynoszącym szczęście. I to zostało



Stefania Żelazna może leżeć godzinami na wodzie i np. czytać książkę, nie tonie. - W dawnych czasach spalono by mnie na stosie, a dziś budzę tylko niepokój swojej rodziny - mówi ze śmiechem. Fot. Adam Warżawa

zaakceptowane, dzięki czemu czasopismo prawie samo się finansuje. Czytelnicy nakłaniali mnie, aby prowadzić także kurs tarota, ale ja jestem ostrożna, bo amatorskie podejście może przynieść więcej krzywdy, niż korzyści. Zrobiliśmy jednak coś innego dla osób, mających potrzebę kontaktu z kabałą. Na podstawie kilkunastu kart, zachowanych w archiwum rodzinnym jednej z wrózek, grafik Iwona Woźniewska wykreowała całą magiczną talię, zachowując jej secesyjny charakter. Daje ona odpowiedzi na podstawowe ludzkie pytania, jak kocha nie kocha, dom i rodzina, przyszłość, miłość do dzieci i ludzi w ogóle.

Wężowa Wielgoradesz

W odmienny sposób podchodzi do tarota wróżka Wielgoradesz (to oczywiście pseudonim) z Warszawy. Ubrana niezwykle malowniczo - fantazyjnie zawiązana czerwona chusteczka ozdobiona błyszczącym klipsem, na szyi obroża z ręcznie kutego srebra i kilka wisiorów, na prawej ręce w kordonkowej rękawiczce - imponującej wielkości stylizowany węź, na przegubach bransolety.

Na pytanie, czy ten strój ma jakiś związek z kabałą,

Chodzić po ogniu może każdy, nawet pierwszy lepszy przechodzień z ulicy, gdy się go wprowadzi w odmienny stan świadomości.

odpowiada, że nie ma żadnego. Po prostu podchodzi do swego zajęcia wróżki z luzem, lubi się bawić, a węźa Eskulapa przypięła do rękawiczki, bo jest on symbolem wiedzy i w ogóle poznania.

Od pewnego czasu prowadzi poradnictwo na podstawie kart tarota, wcześniej wróżyła z kart cygańskich (jest to nazwa tali, a o ich pochodzeniu od Cyganów nic nie wiadomo). Proszę, aby opowiedziała najdziwniejsze zdarzenie związane z kabałą.

- Sąsiadka nie lubiła moich kotów i żądała ich zlikwidowania - mówi. - Potem bardzo zachorowała. Postawiłam tarota - powiedział, że wyzdrowieje. Następnego dnia nie obeszłam jej jak zwykle półkolem, tylko zbliżyłam się i powiedziałam: będzie pani zdrowa. Tak się stało i odtąd żyjemy w przyjaźni.

Czy sobie także kładzie kabałę? - Tak, ale gdy jestem niezadowolona z wyniku, wymuszam inną odpowiedź. Wtedy tarot daje denerwujący przekaz albo po prostu mnie straszy. Można sobie wróżyć, ale trzeba przyjąć pierwszą odpowiedź i nie uciekać się do manipulacji.

Wiesława Kwiatkowska



Wróżka Wielgoradesz z Warszawy - zawołana kabalistka.

Fot. Adam Warżawa



Pożar w hali stoczni stał się cezurą dla wszystkich, którzy go przeżyli.

Fot. Andrzej Kibienca

W rocznicę tragedii w hali stoczni

My z pożaru



Czują, że czas ucieka, że inni mogą więcej tylko dlatego, że 24 listopada zostali w domu. Nie rozumieją, dlaczego powoli się o nich zapomina. Przecież w nich w dalszym ciągu jest pożar. Właśnie on wyznacza często dalszy kierunek ich życia.

Kaśce stopiły się włosy, ale już dawno o tym zapomniała. Rosną teraz, jak szalone. Tylko kolor jest mysi, zupełnie inny niż kiedyś. Od kilku miesięcy farbuje je na rudo, nie żeby się wyróżnić z tłumu, ale dla siebie, na powrót do normalności.

- Sąsiadka powiedziała, że to kuszenie losu, po tym co przeszłam, nosić ogień na głowie - przygląda ręką włosy. - Denerwuje mnie takie gadanie.

Blizny

Jola w tym roku pierwszy raz nałożyła koszulkę z krótkim rękawem i dekoltem. Widać było całą bliznę na szyi i drugą na ramieniu. Nie nałożyła ani razu spódniczki mini, chociaż nogi ma takie, że grzech je chować. Ale skóra na lewej nodze, od tydki aż do biodra, była prawie spalona i Jola chowa ją pod długą do ziemi spódnicą albo pod spodniami.

Włosów też nie obcina, chociaż lepiej jej w krótkich. Ale wtedy blizna na szyi była by widoczna w całości.

- Koszmar był w ubiegłym roku, bo upał straszny, a ja w spodniach i bluzce z długim

rękawem - opowiada. - Prawie z domu nie wychodziłam.

Wychodzenia gdzieś więcej, niż tylko do szkoły, uczyła się ponad rok. A kiedyś nie można było jej utrzymać w domu, ciągle gdzieś latała.

Maciek jest po trzech operacjach, czeka go jeszcze kilka. Odwrócony był bokiem do wrzącego podmuchu, który w pewnym momencie przeszedł po hali. Poparzyło mu pół twarzy, do dzisiaj nie ma części włosów.

- Mniej przejmuję się twarzą i bliznami na policzku i czole - mówi matka. - Bardziej włosami.

Maciek wstaje o szóstej, mimo że mieszka naprzeciwko szkoły. Ponad godzinę zajmuje mu nałożenie peruczki tak, aby nie było widać różnicy między prawdziwymi i sztucznymi włosami. Już od drzwi kilkakrotnie wraca do łustra, żeby sprawdzić efekt. Latem chodzi w czapce z daszkiem, zimą ciężko go namówić do zdjęcia narciarki. Operacje, jakie go czekają, naciągną mu stopniowo włosy aż do szyi. Przeszczepy zlikwidują jeszcze kilka blizn na twarzy.

- Łapię go czasem na tym, jak ogląda swoje zdjęcia, te wcześniejsze - matka pokazu-

je mi kilka kolorowych fotek. - Zawsze mu wtedy obiecuję, że będzie taki, jak kiedyś, chociaż już wszyscy wiemy, że to nie takie proste - operacja, pstryk i gotowe.

Anka ma poparzone całe nogi. Przedtem trenowała gimnastykę artystyczną.

- Chciałam być mistrzynią - mówi. - Nie byłam na sali od trzech lat. Najlepiej jest zimą. Wtedy można nałożyć grube rajstopy i udawać, że nogi ma się takie same, jak ta dziewczyna, co idzie przede mną.

Większość z nich nie czuje już bólu, chociaż nie dla każdego skończył się czas operacji. Najpierw wierzyli, że wszystko się wygoi. Potem wiedzieli już, że nie wszystko i nie od razu. Lekarze co prawda są i tak zdumieni, że proces „odnowy” jest tak imponująco szybki, ale porównują to z organizmami dorosłych. Dla nich nie ma znaczenia, że ich blizny goją się szybciej niż u człowieka dwadzieścia lat starszego. Ważne jest to, że nie znikają.

- Wcześniej blizny nie były najważniejszym problemem w terapii - mówi dr Bogusław Borys, prowadzący terapię poszkodowanych w hali stoczni. - Kolejne pobyty w szpitalach i kolejne operacje uświa-

damiały im, że może być tak, że nie znikną. Uczą się żyć z bliznami, osuwają ze swoim wyglądem. Czasem jest tak, że udaje im się uporać ze wspomnieniami, a nie udaje z własnym obrazem. Wyobrażają sobie, jak ich widzą inni i czują się gorsi. Tym bardziej, że niejednokrotnie z powodu blizn muszą zweryfikować swoje plany.

Przyszłość

Krzysiek pokazuje przykurczone palce lewej ręki.

- Czułem się jak palant, gdy wychodziłem z domu w rękawiczkach uciskowych - mówi. - Wszyscy się na mnie gapili, a ja powtarzałem w duchu, że to tylko na trochę, że za kilka miesięcy będzie okay. Rękawiczki zdjąłem, owszem, ale został przykurcz.

Krzysiek grał w zespole na organach elektrycznych. Zamierzał zarabiać w ten sposób przez kilka lat. Z przykurczem to niemożliwe. Teraz kończy liceum wieczorowe. Nie pracuje, bo nie może. Nie ma pieniędzy, będzie się starał o rentę.

- Ironia losu - mówi za Jolę Kaśka. - Ja jestem taka szara mysza i nic mi się nie stało, a Jolka chciała być modelką i już nie ma szans.

Jola ma prawie 1,80 wzrostu. Lubi koszykówkę i czasami nawet myślała o tym, by zostać koszykarką, bo przecież jak pan Bóg daje taki wzrost, to nie można go zmarnować. Ale teraz nie wolno jej nawet myśleć o jakimkolwiek uprawianiu sportów. Jest pod stałą opieką pulmonologa, podobnie jak wielu innych z hali. Gorące powiętrze paliło nie tylko skórę, raniło też drogi oddechowe. Jolka ma od trzech lat ciągle infekcje gardła, poważne problemy z oskrzelami. Dopiero niedawno odważyła się pojechać do autobusu i cieszyła jak dziecko, że nie zabrakło jej tchu. Tak więc przez gardło z koszykówki nici, a przez blizny nie zostanie modelką. Wzrusza ramionami, gdy pytają, co będzie robić po maturze.

- Może zostanę pielęgniarką - mówi bez przekonania.

Anka poszła do „ekonomika”, żeby zdobyć zawód, chociaż wcześniej zupełnie o tym nie myślała. Chciała zdobyć klasę mistrzowską w gimnastyce, a potem zostać trenerką. Będzie księgową, do tego ładne nogi niepotrzebne. Śmieje się.

Na terapię do dr. Borysa trafił chłopak, który pozornie

Anka - 17 lat, poparzone nogi, prawe ramię
 Kaśka - 18 lat, stopione włosy, poparzona szyja
 Jola - 18 lat, poparzona prawa noga, ramię, szyja
 Maciek - 17 lat, poparzona twarz, głowa
 Krzysiek - 20 lat, poparzone szyja, ręce, ramię

Żaden z bohaterów reportażu nie zgodził się na podanie swojego nazwiska. Tylko Krzysiek i Anka występują pod swoimi imionami, pozostali prosili o ich zmianę.

nie potrzebował jej w pierwszym okresie. Załamał się po dwóch latach, kiedy okazało się, że z powodu przykurczu ręki nie będzie mógł być chirurgiem.

Wielu z tych, którzy trzy lata temu byli świetnymi uczniami, potem ledwo przechodziło do następnej klasy. Krzysiek stracił rok, potem zdecydował się na wieczorówkę. Do Joli przez rok nauczyciele przychodzili do domu. Maciek nie dostał się do tego ogólniaka, do którego zdawał, poszedł tam, gdzie były miejsca. Anka z piątek spadła na tróje, dopiero teraz wychodzi z dołka.

- Nie wszędzie nauczyciele rozumieli, co się dzieje - mówi dr Borys. - Nie wiedzieli, że problemy psychiczne nie muszą zależeć od stopnia poparzenia, że można nie być poparzoną i ciągle myśleć o tym, że było się w przerażającym tłumie. Zorganizowaliśmy spotkanie dla tych nauczycieli, w których szkołach było najwięcej uczniów z pożaru. Mówiliśmy im o objawach zespołu pourazowego, o wynikających z niego trudnościach z nauką, zaburzeniach w koncentracji, nieobecnościach w szkole. Mieliśmy sygnały, że potem łatwiej dogadywali się z uczniami.

Strach

Krzysiek był już na kilku koncertach, najpierw tylko w Operze Leśnej albo na mołu. Teraz potrafi bawić się nawet w takim małym klubie, jak „Kwadratowa”. A jeszcze rok temu wyszedł z kina po 10 minutach.

- Zrobiło mi się duszno, wystraszyłem się - mówi.

- Znam wyjścia ewakuacyjne we wszystkich kinach i w teatrze - twierdzi Anka. - Do teraz, jak mam gorszy dzień, po wejściu do jakiegoś budynku szukam takiej zielonej tabliczki - wyjścia ewakuacyjnego.

Jola kilka miesięcy temu pozwoliła ojcu wynieść do piwnicy gaśnicę. Od pożaru wisiała w przedpokoju, przy lustrze. Nie wpada też w histerię, gdy za jej plecami wybucha jakieś zamieszanie. Kaśka poprosiła rodziców o zlikwidowanie krat w oknach, mimo że mieszkają na parterze.

- Na terapii w bardzo różny sposób usiłowałam ich uwolnić od strachu - mówi dr Borys. - Rysowali swoje przeżycia, a potem, gdy już wygoiliły się rany, proponowałam im ćwiczenie, którego zresztą sami się obawialiśmy. Kilka osób tworzyło ciasny, trudny do przerwania krąg.

W środku kilkoro, którzy muszą się wydość, wyjść za wszelką cenę. Chcieliśmy, żeby przestali bać się tłumu.

Większości z nich udało się wrócić do równowagi, zdarza się jednak, że do terapeuty zgłaszają się dopiero teraz ci, którzy wydawali się na początku wolni od stresu.

Rodzice Ewy zdecydowali się kilka miesięcy temu na rozwód. Wcześniej dziewczyna nie przeżywała koszmarnych wspomnień. Teraz, pod wpływem rozwodu, pojawił się u niej zespół stresu pourazowego. Niemal co noc ma makabryczne sny, związane z pożarem, chociaż nigdy nie pojawia się w nich stocznia. Pali się dom, drzwi są zamknięte, nie można otworzyć okien.

- Przychodzą też rodzice - mówi dr Borys. - O ich przeżyciach rzadko się wspominało, a przecież oni też byli ofiarami tego pożaru.

Matka Maćka przez pierwszy rok cieszyła się, że chłopak nie chce wychodzić z domu. Mogła go widzieć cały czas, wiedziała, że nic złego mu się nie dzieje.

Matka Anki często śni sen, w którym szuka córkę w kolejnych szpitalach.

Krzysiek nie mówi rodzicom, że wychodzi na jakiś



Jola myślała o tym, by zostać koszykarką. Teraz nie wolno jej nawet myśleć o jakimkolwiek uprawianiu sportów.

Rysunek z terapii

koncert. Do kolegi, owszem, nawet do kina, ale koncert to dla nich niemożliwe do zaakceptowania. Kaśka i Jola opowiadają się przed wyjściem z domu, jak małe dzieci.

- Idziemy tu i tu, wrócimy o tej i o tej - mówią. - A jak się tylko trochę spóźnimy, to awantura na całą kamienicę.

Kto pamięta

- Wystarczyło głupstwo, żebym zrobiła wielką awanturę - pamięta Anka. - Teraz jest lepiej, już umiem nad sobą panować.

Matka Maćka mówi, że przez pierwsze miesiące nie można było z nim w ogóle rozmawiać, taki był drażliwy. Nie można było wspominać o wypadku, bo wybuchał. Potem z kolei ona wybuchała, gdy syn chciał wyjść z domu.

- Był czas, że potrafiłam rozmawiać tylko z Kaśką - wspomina Jola. - Wszyscy inni wydawali mi się bez sensu, a ja im wydawałam się bez sensu.

- Najpierw interesowali się nami wszyscy - pamięta Krzysiek. - Dziennikarze, władza,

wszyscy nad nami skakali. A teraz tylko lekarze, bo muszą, i ci, co pomagali od początku. Pani jest pierwsza od roku, co chce ze mną rozmawiać o pożarze.

- Drażliwość to reakcja nerwicowa po wypadku - mówi dr Borys. - Każdy powód jest dobry, by wybuchnąć. Podobnie jest z ich pretensjami o brak uwagi. Typowa postawa roszczeniowa. Jestem pokrzywdzony, więc musicie mi pomóc, zrekompensować. I czują, że czas ucieka, że inni mogą więcej tylko dlatego, że 24 listopada zostali w domu. Nie rozumieją też, dlaczego powoli się o nich zapomina. Przecież w nich w dalszym ciągu jest pożar. Wielu z nich właśnie on wyznaczył kierunek życia.

To, co najważniejsze

Anka: - Jestem zupełnie inna. Mam sto lat więcej niż moja koleżanka z ławki. Ale żyję.

Jola: - Blizny są ważne dla mnie, ale ważniejsze dla innych ludzi. Dla mnie naprawdę istotne są te dni, które mi

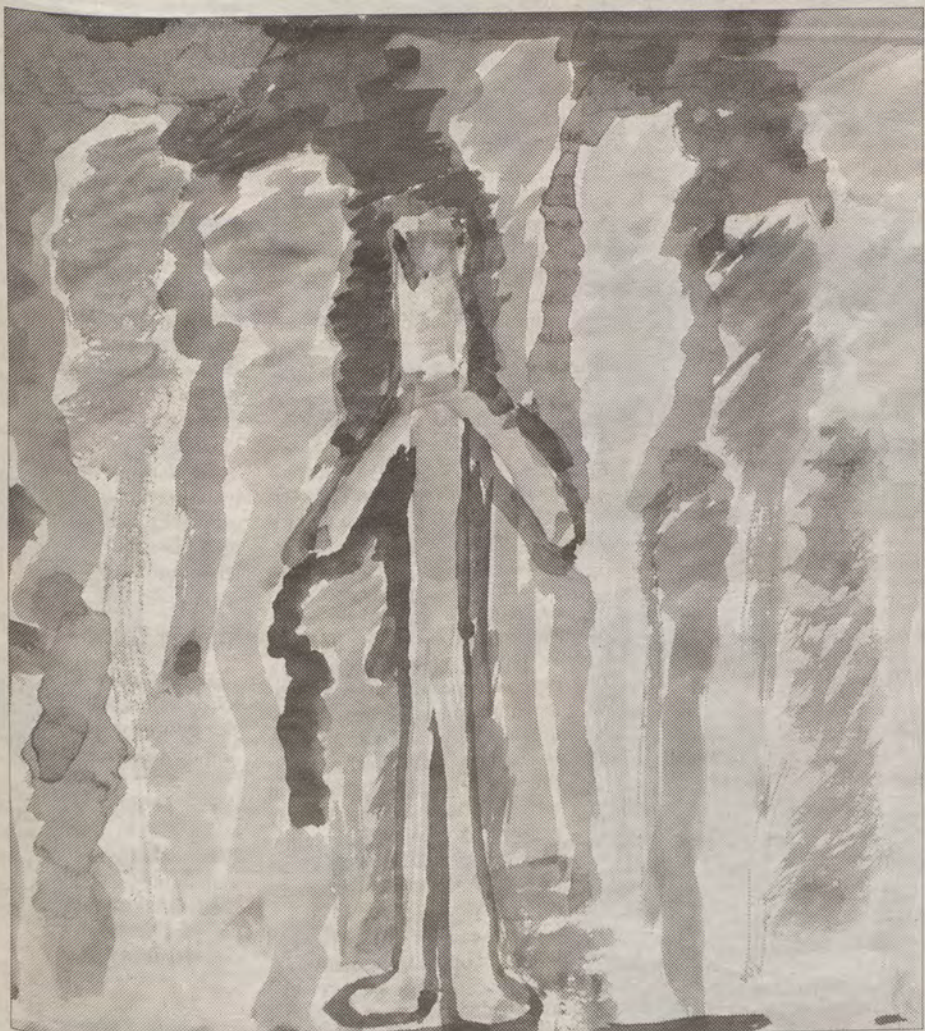
jeszcze dano. Mogłam tam zginąć, a Bóg mnie potraktował specjalnie. Zaczęłam chodzić do kościoła.

Matka Maćka: - Najważniejsze, że codziennie wraca do domu.

Ewa: - Nikt mnie nie pokocha, żaden chłopak mnie nie zechce.

Dr Borys: - O pożarze nauczycieli przez ten czas rozmawiać. Teraz potrafią opowiadać chłodno, bez emocji, nie napadać na tych, którzy - ich zdaniem - zbyt lekko potraktowali wypadek. Nie ma już w nich, na szczęście, obsesyjnego gniewu w sytuacji, gdy ktoś niekiedy przypadkowo zapyta, co się tam naprawdę stało. Trudniej mówić im o tym, co teraz albo o tym, co będzie. Teraźniejszość i przyszłość są często zupełnie inne od tego, co wyobrażali sobie kiedyś. Mieli po kilkanaście lat i psychicznie już raz umarli. Mają o życiu i śmierci zbyt dużą wiedzę. Czasem całego życia nie wystarczy, żeby przeżyć własną śmierć.

Małgorzata Gradkowska



Dr Borys: - Rysowali swoje przeżycia, a potem, gdy już wygoiliły się rany, proponowałam im ćwiczenie, którego zresztą sami się obawialiśmy. Większości z poszkodowanych udało się wrócić do równowagi.

Rysunek z terapii

- 24 listopada 1994 roku w hali Stoczni Gdańskiej przebywało ok. 800 osób - uczestników koncertu grupy Golden Life. Dwie godziny po rozpoczęciu imprezy na jednej z trybun pojawił się ogień, który obecna w sali młodzież potraktowała początkowo jako swoisty happening. Dopiero gdy ogień zaczął się rozprzestrzeniać, wszyscy rzucili się do ucieczki. Jedyne otwarte wyjście z hali częściowo zagradyła krata.
- Na miejscu zginęły dwie osoby - jedna w płomieniach, druga stracona podczas ucieczki. Kolejnych pięć osób zmarło w szpitalu.
- Hospitalizowanych było ponad 250 osób, pośród których 120 doznało ciężkich obrażeń ciała.
- Ok. 100 osób zostało, w mniejszym lub większym stopniu, trwale okaleczonych fizycznie.

Do dzisiaj kilkadziesiąt osób poddawanych jest okresowej rehabilitacji, a większość z nich czeka na dalsze zabiegi chirurgiczne.

- 5 grudnia w Wojewódzkim Centrum Rehabilitacyjnym odbędą się kolejne badania kontrolne ofiar pożaru, o których powiadomiono 110 osób. Badania prowadzić będą m.in. chirurg, pulmonolog i psycholog.

- W marcu 96 r. do sądu wpłynął akt oskarżenia w sprawie pożaru. Zarzuty nieumyślnego przyczynienia się do powstania pożaru postawiono komendantowi zakładowej straży pożarnej, natomiast dwóm organizatorom koncertu i dyrektorowi hali - niedopełnienie obowiązków zapewnienia bezpieczeństwa pożarowego uczestnikom koncertu.

Miroslaw Kopij - ten, który przeżył

Ocalony

Miałem taką wizję, jaką podobno miewa się przed śmiercią: czarno-biały „film” z całego życia. Cmentarz w rodzinnym mieście, ludzie stojący przy grobie na moim pogrzebie.



Obrazami, które wyświetlane były podczas koncertu Golden Life na specjalnych ekranach, sterował Miroslaw Kopij, specjalista od systemów audiowizualnych.

Fot. Andrzej Kibierski

Jedynym, który przeżył pożar w hali, mając ciało poparzone w prawie 60 procentach, jest Miroslaw Kopij, inżynier elektronik z Elbląga. Mówi, że nigdy nie wolno dopuszczać do siebie myśli, iż nie ma się szans.

- To szczęście, że Mirek trafił do szpitala w Gdańsku, a nie na przykład do Tczewa. Pomoc by-

ła natychmiastowa, co miało wielkie znaczenie, bo obrażenia nasilały się z każdą chwilą - wspomina Krystyna Maszkowska-Kopij, żona najbardziej poszkodowanego wśród żyjących ofiar tamtego pożaru.

Jest lekarką chemioterapeutką. Ma szczególny dar mówienia pacjentom trudnej prawdy w sposób mobilizujący ich

do walki o życie. Ten dar spożytkowała, gdy tygodniami przebywała przy łóżku męża w Siemianowicach. Zmieniała opatrunki, pielęgnowała i potwarzała mu, gdy umierali kolejni ludzie, że on musi, musi żyć.

Czuwała przy nim bezustannie, sypiała przy łóżku i na każde zawołanie gotowa była nieść

mu pomoc. Zwierzała się jednak wówczas przez telefon, iż wszystko, co najgorsze, jeszcze może się wydarzyć...

Potrafiła jednak mobilizować wolę przetrwania męża i dzielnie walczyć wraz z nim, choć wokół umierali kolejni pacjenci.

Film z życia

Miroslaw Kopij jest elektronikiem, fachowcem od systemów audiowizualnych. Mówi o nich z pasją. To jego żywioł. Dlatego powierzono mu kontrolę ekranów, na których podczas koncertu emitowane były obrazy.

- Ręce i plecy, a także twarz, poparzone miałem najbardziej. Wyszedłem z hali jako ostatni. Najpierw myślałem o wyniesieniu sprzętu elektronicznego, ale tarasowałbym drogę uciekającym. Wolałem poczekać. Potem wyjście okazało się niemożliwe. Pamiętam, jak trafiłem na ludzkie mrowisko uwięzione na schodach. To było niewyobrażalne. Za nami tężała ściana gorąca, ogień z hali był coraz silniejszy. A przed nami kłębowisko ludzi, nacierających na kraty, których nie można było sforsować. Niektórzy uciekali po ciałach kłębiących się osób. Widziałem, jak traktuje się ludzi. Walczyłem o każdy oddech. W pewnej chwili, widząc, jak beznadziejne jest moje położenie, miałem taką wizję, jaką podobno miewa się przed śmiercią: czarno-biały „film” z całego życia. Cmentarz w rodzinnym mieście, ludzie, stojący przy grobie na moim pogrzebie. Martwiłem się, że wszyscy są okropnie smutni... Przecież jeszcze żyłem!

Zastanawiam się, dlaczego ludzie za barierkami nie wyciągali nas z tego kłębowiska? Przyglądali się. Ktoś tłumaczył mi, że w tłoku mogliby tylko pourywać ręce. Pamiętam, że wyszedłem stamtąd o własnych siłach, przytomnie skierowałem

się do policyjnego radiowozu i poprosiłem o przewiezienie do szpitala oraz powiadomienie żony, która jest lekarką. Bardzo nalegałem, podałem adres, telefon. Gdy dowiedziano mnie do szpitala, lekarz dyżurny - okulista, który przed miesiącem dobiegał mi szkła kontaktowe, już mnie nie poznał. Tak potwornie byłem zmieniony. A potem wszystko toczyło się błyskawicznie. Pozostało wrażenie nieopisanego bólu.

On płacze. Cierpi

Stanisław Sakiel, ordynator oddziału oparzeń II Szpitala Miejskiego w Siemianowicach, podtrzymywał nadzieję, jaką dała w Gdańsku dr Hanna Tońska-Okrój.

Zagrożeniem dla osoby leżącej jest zapalenie płuc. Toteż chory siedział. Specjalny wózek wyścielano gazą, nasączoną antybiotykiem, by poparzenia mniej dokuczały. Na plecach była jedna wielka rana. Tylko skórzany pasek od spodni ochronił przed ogniem, równie skutecznie, jak dzinsy na nogach. On też „odbił się”, w postaci skrawka zdrowej skóry pośród ropiejących bąbli.

Najgorszym wspomnieniem z tamtych dni pozostało ściąganie opatrunków, bo nie można było zrobić tego inaczej, jak - razem ze skórą.

- On płacze. Cierpi. Ja znam na co dzień cierpienie i ból, pracuję przecież z ciężko chorymi. Ale takiego bólu i cierpienia, na jakie są skazani pacjenci na tym oddziale, nie znalazłem - mówi żona pana Miroslawa.

Przeszczepy

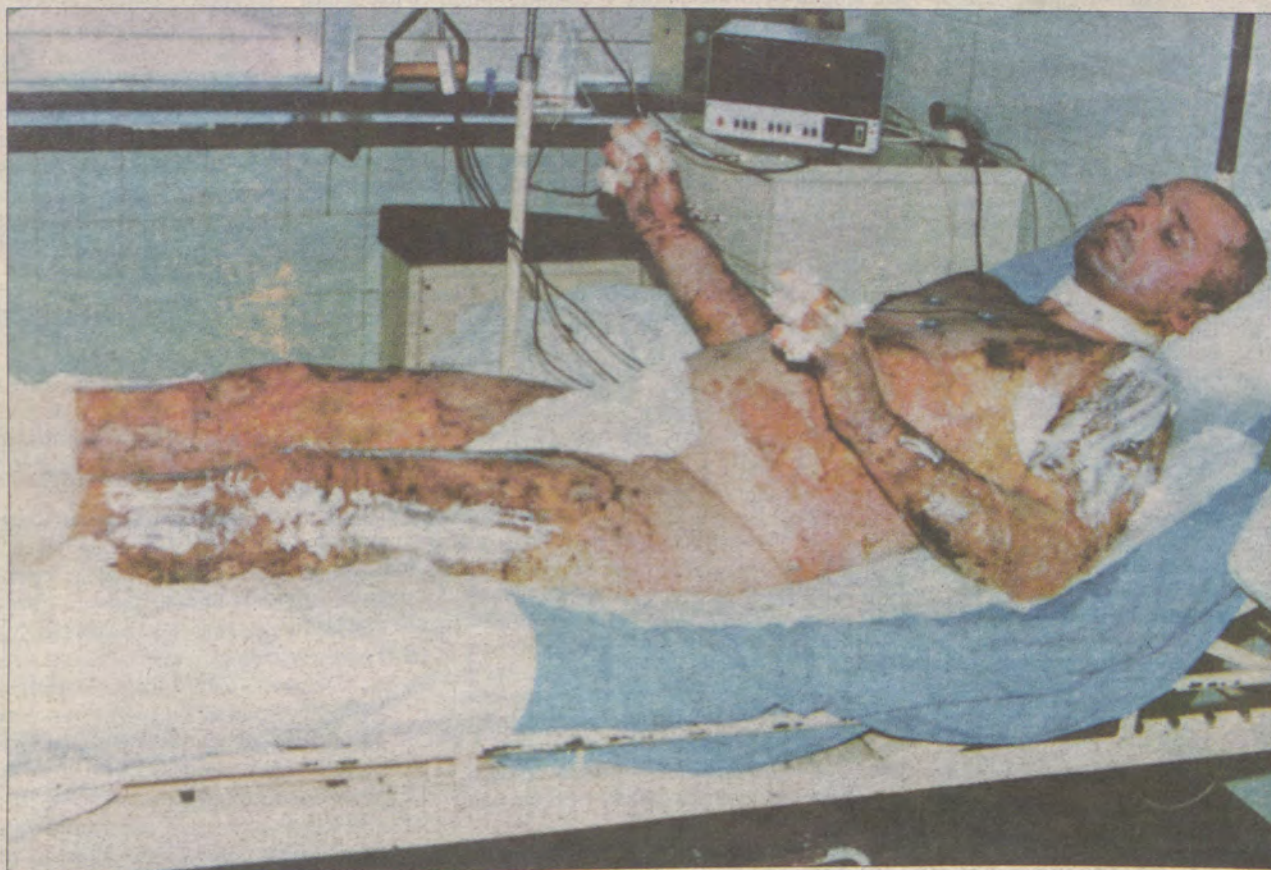
Codziennie stały się zabiegi, przeszczepy skóry - twarzą, potylicy, pleców, rąk. Ratowała wrodzona, niesamowita zdolność regeneracji. Rany goiły się błyskawicznie. Rehabilitacja odbywała się niemal równocześnie. By uniknąć przykurczów, nieodwracalnych zmian, należało od razu ćwiczyć. Na twarzy, na rękach, na nogach nosił uciskowe maski. Skóra miejscami wydawała się jedwabista, jak u dziecka, miejscami nienaturalnie zgrubiała.

- Trudno przewidzieć, jakie jeszcze niespodzianki może zgotować organizm - mówi pan Miroslaw. Skóra stanowi olbrzymią powierzchnię ciała, a zachowuje się bardzo dziwnie. Bliznowce pojawiają się na niej daleko od miejsc poparzonych, a nawet poparzone. Pewnie już cały czas konieczne będą chirurgiczne interwencje, bym przypominał normalnego człowieka. Bardzo zależy mi na wyglądzie, bo wiem, jak źle tolerowane są wszelkie odstępstwa od normy.

Zrzucić skórę...

Po powrocie do domu proces rekonwalescencji przyspieszył się. Powiększyła się też liczba domowników - przybył wąż, pupilek pana Mirka, jego córki i syna. O zimnokrwistym zwierzęciu mówił dużo i ciekawie. Fascynująca jest zwłaszcza jego umiejętność zmiany skóry. Po każdym takim procesie, zapewniamy miłośnicy węża, staje się on piękniejszy.

Zdjęcia Krystyny Maszkowskiej-Kopij z archiwum rodzinnego publikujemy za zgodą Miroslawa Kopija.



Miroslaw Kopij zalażł się w szpitalu w Siemianowicach z poparzeniami 60 procent skóry, poparzeniu uległy także drogi oddechowe.



Mirosław Kopij przed wypadkiem...

...i obecnie.

Fot. Piotr Kajmer

REKLAMA



Bardzo zależy mi na wyglądzie, bo wiem, jak źle tolerowane są wszelkie odstępstwa od normy. Tak wyglądał Mirosław Kopij 30 kwietnia 1996 roku.

REKLAMA

NOWO OTWARTY SALON FOTOGRAFICZNY ZAPRASZA NA ZAKUPY MIKOŁAJKOWE

Znajdziecie u nas:

! bardzo szeroki wybór sprzętu
dla amatorów i profesjonalistów

firm: Canon Tokina HOYA

SUNPAK DOMKE MINOLTA

Kenko Rollei NIKON



Canon EOS 500N

! fachową obsługę,
doradztwo techniczne
! atrakcyjne ceny
! możliwość zakupu
na raty



DLA PIERWSZYCH 50 KLIENTÓW UPOMINKI

ZAPRASZAMY

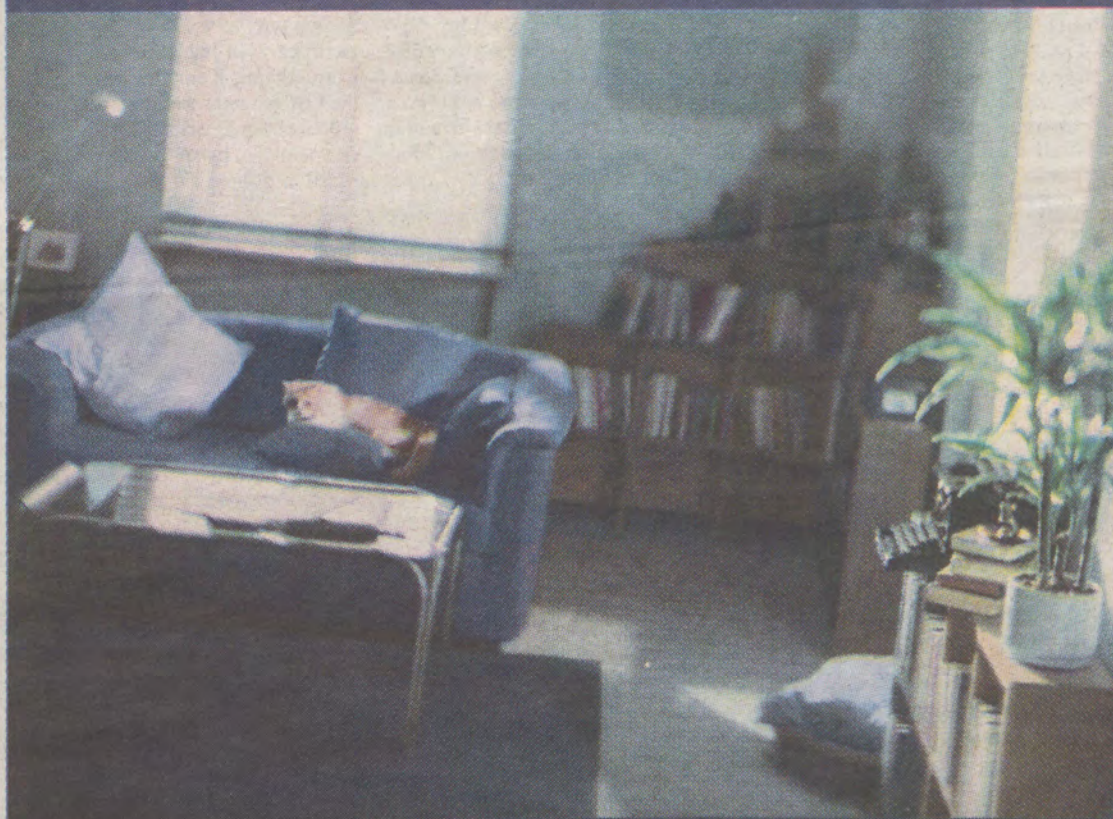
od poniedziałku do piątku w godzinach 10.00-18.00
w soboty 10.00-15.00

Gdańsk, ul. Rajska 2
tel. (0-58) 35-32-06
<http://www.m-and-j.com.pl>

PHOTOGRAPHIC PRODUCTS
m & j

R-6510

Zanim będzie za późno... zatroszcz się o swój dom



POWSZECHNY
ZAKŁAD
UBEZPIECZEŃ S.A.

Ubezpieczenie całkowitej wartości mieszkania zapewnia pełną
likwidację powstałej szkody.

Ubezpieczenie mieszkaniowe PZU SA pokrywa straty wynikające z:
zalania, kradzieży z włamaniem, pożaru, powodzi,
huraganu, eksplozji, obsuwania się ziemi.

Aby spokojnie cieszyć się dniem dzisiejszym,
już teraz pomyśl o jutrze.

JUTRO BEZ OBAW

Laureat nagrody Pulitzera opublikował skandalizującą biografię uwielbianego przez Amerykę prezydenta

Ciemna strona Johna Kennedy'ego

Jest 6 kwietnia 1960 r. Senator John F. Kennedy, przystojny mężczyzna z bardzo za-
możnej rodziny, którego demokraci wyznaczą wkrótce na swojego kandydata do prezy-
denckiego fotela, podejmuje obiadem w domu, w Georgetown, przyjaciela, Billa Thompsona
i piękną Judith Campbell. Kennedy zwraca się do Judith z prośbą o pomoc w organizo-
waniu spotkania z jej znajomym, niejakim Samem Floodem - w rzeczywistości mafijnym
bossem Samem Giancana. Senator mówi wprost: „Myślę, że mógłby pomóc mi w kampanii
prezydenckiej”. Zaraz potem pyta, czy Judith nie zechciałaby przekazać Samowi w Chica-
go małej paczki. Okazuje się, że to skórzana teczka wypchana banknotami - około 250
tys. w stuł dolarowych banknotach.

O życiu i prezydenturze
Johna F. Kennedy'ego zapisa-
no już tony papieru. Jego oso-
ba interesuje zarówno poważ-
nych badaczy, historyków i po-
litologów, jak i poszukiwaczy
skandali. Ale też działalność
publiczna J.F.K. przeplatała
się stale z sensacyjnymi wątkami.
W jego życiu pojawiało się
tyleż pięknych kobiet, co po-
dejrzanych o mafijne powiąza-
nia typów.

Odkrywanie brudów

W Stanach Zjednoczonych
ogromną wrzawę wywołało
niedawno pojawienie się na
tamtęjszym rynku księgarskim
kolejnej pozycji poświęconej
J.F.K., a zatytułowanej „The
Dark Side of Camelot”. Jej au-
torem jest Seymour Hersh,
zdobywca nagrody Pulitzera
z 1970 r., którą otrzymał za pu-
blikację ujawniającą masakrę
w My Lai w Wietnamie. Jest
też laureatem nagrody amery-
kańskiej krytyki za bestseller
„The Price of Power: Kissin-

ger in the Nixon White Ho-
use”.

- Swoją sławę zawdzięcza
odkrywaniu brudów - pisze
o autorze kontrowersyjnej
książki amerykański tygodnik
„Time”.

„The Dark Side of Came-
lot” ma być zwieńczeniem
dziennikarskiej i pisarskiej ka-
riery Hersha. Pierwszy nakład
książki wynosi 350 tys. egzem-
plarzy. I na pewno jej sprzeda-
ży nie zaszkodzą towarzyszące
rewelacjom Hersha ostre głosy
krytyki, która jego dzieło na-
zwała „pokrytym brodawkami
portretem Kennedy'ego” i
„najbardziej bezlitosnym
kompilum oskarżeń prze-
ciwko prezydentowi, jakie kie-
dykolwiek wyszło spod pióra
znanego pisarza”.

Szukanie dokumentów

Hersh rozpoczyna swoją
książkę od opisu pierwszych
godzin po zamordowaniu
J.F.K., kiedy to jego brat, Ro-
bert Kennedy, nakazuje na-

tychmiastowe przetrząśnięcie
Białego Domu w poszukiwa-
niu dokumentów, które mogły-
by skompromitować nieżyjące-
go prezydenta. Zwłaszcza,
gdyby dostały się w niepowołane
ręce, a za takie uważał on
na pewno ręce wiceprezydenta
Lyndona Johnsona. Według
Hersha, chodziło o zniszczenie
papierów mających związek
z tajemniczym pierwszym mał-
żeństwem J.F.K., kontaktami
z mafią, dzięki którym zwycię-
żył w wyborach, a w końcu
z historią jego kłopotów zdro-
wotnych, łącznie z długotrwałą
chorobą weneryczną. Mogły
się tam również znajdować do-
kumenty ujawniające, jaką ro-
lę odegrał prezydent w zamor-
dowaniu południowowiet-
namskiego przywódcy Ngo
Dinh Diem oraz w przygoto-
waniach CIA do zamordowa-
nia Fidela Castro, w których
palce maczać miała również
mafia. Zresztą zdaniem Her-
sha, pierwszym podejrzanym

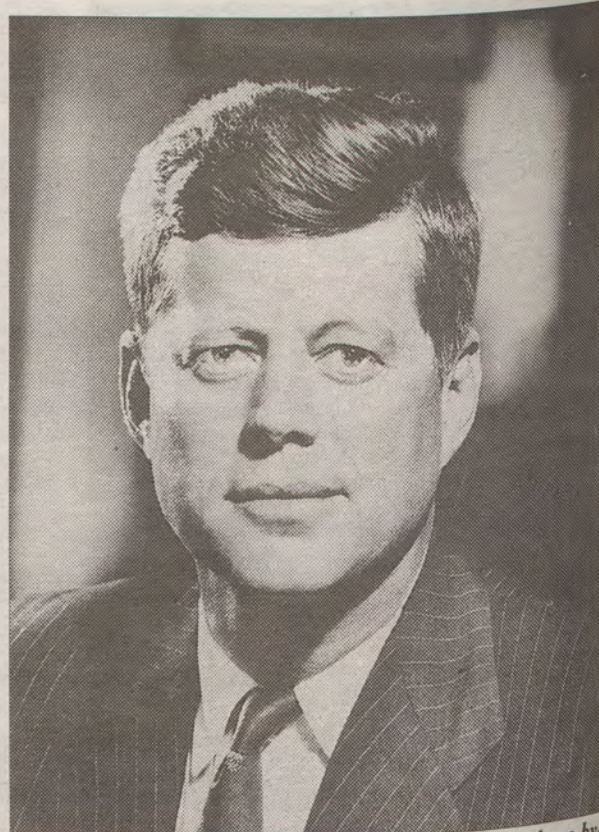
w sprawie śmierci J.F.K.,
w ocenie Roberta Kenne-
dy'ego, był nie kto inny, jak
wspomniany wcześniej mafio-
zo Sam Giancana.

Milczenie Marilyn

Krytycy zarzucają Hershowi,
że nawet jeżeli dokumenty,
o których pisze w swojej książ-
ce, istnieją, to skoro do nich
nie dotarł, nie można wyciąga-
nych przez niego wniosków
traktować jako w pełni wiary-
godnych.

Tuż przed oddaniem książki
do druku, Hersh - jak podaje
„Time” - musiał zrezygnować
z opublikowania fragmentu,
dotyczącego sekretnej umowy
między J.F.K. a Marilyn Mon-
roe. Eksperti ostrzegali bowiem
autora, że kontrakt, na mocy
którego prezydent zgadzał się
wyplacić aktorce 600 tys. dola-
rów za milczenie w sprawie ich
romansu, może być dokumen-
tem podrobionym nawet kilka
lat po śmierci tych dwojga.

Mimo to Hersh nie zrezy-
gnował z wątku poświęconego
pięknej M. M. Pisze między in-
nymi o tym, że w 1960 r., kiedy
aktorka żyła już alkoholem
i tabletkami, Kennedy wysłał
do Los Angeles swojego dłu-
goletniego przyjaciela, Charle-
sa Spaldinga, by sprawdził, czy
Marilyn dobrze się czuje i by



Czy te oczy mogą kłamać? O słabości J.F.K. do kobiet wiadomo było od dawna, jednak rewelacje przytaczane przez Hersha przebijają wszystko, co napisano do tej pory na ten temat.

Fot. PAP/CAF

upewnił się, że nie zacznie na-
głe mówić.

Spalding, który wcześniej
potwierdził dziennikarzom ty-
godnika „Time” informacje
o ukrywanym przez
J.F.K. pierwszym małżeństwie,
które zawarte w 1947 r. trwało
ponoć zaledwie jedną noc,
przyznaje, że pojechał na ży-
czenie prezydenta do Los An-
geles, ale zaprzecza, jakoby ta
podróż miała na celu ucieszenie
Marilyn.

Prezydent jest nagi

Nie jest to jedyny informa-
tor Hersha, który zaprzecza
zawartym w książce twierdze-
niom. Drugim okazał się Sid-
ney Mickelson, właściciel gale-
rii w Waszyngtonie, w której
wystawiono rzekomo fotogra-
fie nagiego Kennedy'ego w to-
warzystwie kochanek. Hersh
pisze ponadto, że na niektó-
rych zdjęciach prezydent poja-
wia się w grupie ludzi w ma-
skach. Mickelson zaprzecza
twierdząc, że fotografie, o któ-
rych wspomina autor „The
Dark Side of Camelot” przed-
stawiają w rzeczywistości trzy
zamaskowane osoby w łóżku,
ale zakryte aż po szyję. Pod-
kreśla też, że nigdy nie twier-
dził, iż jedną z tych osób jest
J.F.K.

Hersh odpiera ataki krytyki
zaznaczając, że Spalding i Mic-
kelson nie byli jego jedynymi
informatorami i że potwierdze-
nie obydwu tych historii otrzy-
mał z innych, niezależnych
źródeł. Nie potrafi jednak,
a może nie chce wyjaśnić, dla-
czego źródła te nie zostały
w książce ujawnione.

Słabość Kennedy'ego do
kobiet lub - jak mówi Hersh -

nałogowe „kobieciarstwo”
sprawiało, że prezydent był
idealnym obiektem szantażu.
Na pytanie, dlaczego J.F.K.
wyznaczył na swojego zastępcę
Johnsona, historycy i politolo-
dzy odpowiadają, że była to
zwykła polityczna kalkulacja.
Johnson mógł sprawić, że Ken-
nedy'ego poprze w wyborach
Teksas. Hersh natomiast uwa-
ża, że J.F.K. stał się ofiarą
szantażu. Pisze, że podczas
spotkania za zamkniętymi
drzwiami, Johnson mógł za-
grozić Kennedy'emu ujawnie-
niem jego brudnych sekretów.
Autor nie posiada jednak ża-
dnych dowodów na to, że John-
son był w posiadaniu jakich-
kolwiek tajemnic prezydenta.
Opiera się na wyznaniach swo-
ich informatorów, z których je-
den miał osobiście usłyszeć od
J.F.K., iż ten został zmuszony
do zaakceptowania kandyda-
tury Johnsona.

Pasja śledczego

Tygodnik „Time” tak pod-
sumowuje swoje omówienie,
bądź - jak kto woli - krytykę,
„The Dark Side of Camelot”:
„Hersh pisze z pasją śled-
czego. Chce, abyśmy wierzyli,
że dotarł do ukrytego sedna
sprawy, wkraczając na sekret-
ne terytorium Kennedy'ego.
Czytelnik, który dotarł do
ostatniej strony jego książki,
może jednak czuć inaczej. Hi-
storia J.F.K. nadal budowana
jest z zawiłych fragmentów.
„Dark Side” dodaje do nich
następne. Jednak powinna
mieć etykietę informującą:
ciąg dalszy nastąpi.

Anna Fibak



Czy mafiozo Sam Giancana, który zdaniem Hersha, swoim wsparciem walnie przyczynił się do wyboru Kennedy'ego na prezydenta, stał też za zamachem w Dallas?

Fot. PAP/CAF

REKLAMA

PODŁOGI DREWNIANE

- parkiety
- mozaiki
- płyta Hajnowka
- deski Bar
- podłogi szwedzkie
- europarkiet
- skanparkiet



„EURODOM” Zaspas, Kilińskiego 52 a, tel. 57-31-25

Umiar i wyrafinowanie

salon **alicji**

Balowa kreacja w stylu militarnym, odkrywająca więcej, niż zakrywająca - czy to możliwe? Nasze największe zdjęcie zaświadcza, że takie mało spodziewane połączenie surowego wojskowego stylu ze zwiewną kobiecością wypada nadspodziewanie dobrze. Pikanterii dodają jeszcze buty z cholewami. Owo wyrafinowanie proponuje łódzki Dom Mody Telimena, znany i ceniony przez kilka już pokoleń Polek.

Przyznać trzeba, że takich ekstrawagancji w najnowszej jesienno-zimowej kolekcji Telimena jest niewiele, a jeśli są, dotyczą wieczoru, i to tego wielkiego. Na co dzień, jak na styl tej firmy przystało, ponowiany jest umiar i elegancja. Linie zazwyczaj proste - długości od mini po maxi - eksponujące fakturę i wysoką jakość tkaniny. Jest wiele modnych w tym sezonie połączeń: przezrystego z zakrywającym, matu z błyskiem, gładkiego z reliefowym. Są koronki, futra, kaszmiry, dżerseje. Kolorystyka stonowana, bez ognistych szaleństw.

Telimena jest zatem umiarkowana i spokojna, czasami jednak pozwala sobie na chwile wieczorowego wyrafinowania.

Alicja

Fot. Telimena



Menu John Bull Pub



W sopockim Bullu serwują dwadzieścia dwa gatunki whisky.

Fot. Adam Warzawa

Sopocki lokal jest najstarszym pubem tej sieci w Trójmieście. Istnieje od sierpnia 1993 roku i jest - jak pozostałe dwa: w Gdańsku i Gdyni - ulubionym miejscem władz samorządowych. Ich reprezentanci lubią tu wpadać na małe piwko, czy kolduny. A księga pamiątkowa pełna jest także wpisów artystów różnej profesji.

Po piwie, z aktora na przykład, potrafi wyjść całkiem zabawnym poetą. Jan Peszek tak oto napisał o angielskim protoplaście Johnów Bullów: *Pewien ciul/ zwał się Bull/ miał pociąg do dup/ więc założył pub.* Wpadają tam czasem na drinka gracze rugby, gdy mają powód do świętowania, a współwłaściciel Krzysztof Drutel zapewnia, że piją napoje niskoprocentowe i bawią się grzecznie.

- Słyniemy z tatara oraz ciasta. Również kolduny pochłaniane są w ogromnych ilościach. Wszystkie dania przygotowywane są na miejscu, a sernik i jabłecznik pieczemy według własnych, domowych przepisów - mówi Drutel.

Za kolduny litewskie w barszczu lub bulionie płacimy 8 zł, za zupę rybną - 9 zł, a za żurek - 8 zł.

Befszyk tatarski à la John Bull Sopot kosztuje 14,50 zł. Na gorąco przekąsić można sekret mnicha (ser pleśniowy, panierowany, smażony i podawany z gruszką i borówkami) - 12 zł.

Na drugie danie polecić można tournedos rossini, czyli befszyk z polędwicy na grzance, z wątróbką smażoną na tłuszczu, z dodatkiem wiśniówki - za 31,50 zł albo kurczaka z krewetkami - 29,50 zł. O złotówkę tańszy jest pstrąg z rusztu, a najdroższą potrawą jest bukiet z owoców morza - 42 zł.

Klienci bardzo sobie chwalą drinki bogato i artystycznie zdobione. Natomiast gatunków whisky jest w sopockim Bullu dwadzieścia dwa.

Małgorzata Sokołowska

Restauracja The John Bull Pub

Gdynia, al. Niepodległości 796, tel. 51-38-36

Polędwica aromatyczna (na 4 osoby)

- 0,5 kg polędwicy wołowej
- główka czosnku
- 100 g oleju
- przyprawa do steków „Kamień”
- maggi do zupy

Polędwicę myjemy, kroimy na cztery kawałki w poprzek włókien. Czosnek miksujemy lub rozgniatamy na miazgę (dobra rada dla lubiących czosnek: zmiksowany z 3 łyżkami stołowymi oleju może być długo przechowywany w szczelnie zamkniętym słoiczku). Płaty mięsa rozbijamy na centymetrowe plastry, z jednej strony smarujemy zmiksowanym czosnkiem, posypujemy przyprawą i smażymy na średnio rozgrzanym tłuszczu przez niecałe dwie minuty. Następnie obracamy i dosmażamy na drugiej stronie, pokropując maggi (w przeciwnym razie przypalilibyśmy czosnek).

Podajemy z zestawem surówek - na przykład tartą marchewką, polaną sosem jogurtowym (jogurt naturalny, sól, pieprz do smaku).



Fot. Maciej Kostan

VIP w kuchni

Agata Młynarska dziennikarka

Kolorowa sałatka



Rys. Barbara Kruszevska

Kuchnia nie jest miejscem, gdzie się spełniam, ale w miarę lubię gotować.

Najchętniej przygotowuję kolorową sałatkę w skład, której wchodzi zielona sałata, 2-3 pokrojone w kostkę pomidory, 2 czerwone cebule pokrojone w plastry, sery - rokpół, feta i camember - pokrojone w paseczki oraz czarne oliwki.

Taką sałatkę zalewam sosem, który przygotowuję z 1/4 szklanki oliwy, 3 łyżeczek octu winnego czosnkowego, ziół prowansalskich, granulowanego czosnku, soli, pieprzu ziołowego, 1/2 łyżeczki cukru, 1/2 łyżeczki musztardy, odrobiny wrzółki i 1/2 szklanki śmietany.

(Ni.)

Dziennik Bałtycki

WIECZÓR
wybrzeża

ZOSTAŃ CZŁONKIEM KLUBU PRENUMERATORA

ZAMÓW „DZIENNIK BAŁTYCKI” LUB „WIECZÓR WYBRZEŻA”
MOŻESZ ZYSKAĆ RABATY

50%

rabatu na badania laryngologiczne oraz badania audiometryczne słuchu

ACUSTICA*

Ośrodek Obsługi Osób
Zie Słyszających
Gdańsk, ul. Hrynka 73a

30%

rabatu od ceny biletu normalnego;
TEATR MIEJSKI W GDYNI



3%

rabatu na aparaty słuchowe firmy „Bernafon”

bernafon®

aparaty słuchowe

Gdańsk, ul. Hrynka 73a

25%

rabatu na siłownię i solarium;

OLIMP

ul. Wajdeloty 12/13

15%

rabatu na zakup i montaż autoalarmów, zamków centralnych, anten, głośników i telefonów komórkowych oraz usługi znakowania pojazdów;

LEM CAR

Gdańsk

ul. Kartuska 214

10%

rabatu na naprawy rowerów, montaż wiązań narciarskich, naciąganie rakiet tenisowych

sport service

HURTOWNIA SPORTOWA

Gdańsk, ul. Kartuska 76/78

5%

rabatu na zakup towarów w Salonie Sportowym „Maraton” i hurtowni sportowej „Sport Service”

maraton

SALON SPORTOWY

Gdańsk, ul. Rajka 14

10%

rabatu na kursy języka angielskiego i niemieckiego;

best

Gdańsk

ul. Pestkowskiego 11/13

10%

rabatu na usługi kosmetyczno-fryzjerskie;

Studio Włosów

Gdańsk

ul. Mireckiego 2b/12a

5%

rabatu na usługi motoryzacyjne (robocizna) diagnostyka, auto-elektryka, wymiana opon

AUTO-SERVICE „OPONEX”

Gdańsk

ul. Dąbrowszczaków 1

1 podwójne zaproszenia na „EVITĘ” na 22.11.97

Teatr Muzyczny w Gdyni

im. Danuty Baduszkowej

Gdynia, Plac Grunwaldzki 1

10%

rabatu na zakup wyrobów jeansowych;

HALA GILDI nr 1 box 183

8-15%

rabatu w sklepach „Gęza”

Gdańsk

ul. Partyzanów 44

i ul. Trawki 7

5%

rabatu na zakup części i akcesoriów do różnych marek samochodów

MOTO SKLEP

Gdańsk

ul. Dąbrowszczaków 1

Państwowa Opera i Filharmonia Bałtycka

PAŃSTWOWA OPERA BAŁTYCKA

Gdańsk, al. Zwycięstwa 15

3-8%

w markecie spożywczym;

ETC

5%

na usługi kuracyjno-hotelowe w uzdrowisku Polczyn-Zdrój;

PAŃSTWOWA OPERA BAŁTYCKA

20%

od wskazań licznika na taksometrze;

HALLO TAXI 22-91



W tym tygodniu wśród członków naszego klubu rozlosujemy nagrodę miesięczną - niespodziankę ufundowaną przez sklepy Gęza

SKLEPY Gęza

ponadto ufundowaliśmy dwa dwuosobowe zaproszenia do kina

Dodatkowe informacje o możliwości otrzymania karty: 0-800-500-26

W sprawie zaproszeń do Teatru Muzycznego, i kina

prosimy dzwonić między 10.00 a 11.00 pod numer 31-96-14 wew. 157

„PRASA BAŁTYCKA” SP. Z O. O. KOLPORTAŻ DOMOWY, GDAŃSK, TARG DRZEWNY 3/7, POK. 330

BEZPŁATNA INFOLINIA: 0 800 500 26



Zdaniem ochroniarzy zespoły chłopięce zachowują się prowokująco, celowo sterując emocjami publiczności. Wciągają na podest niektóre dziewczęta, całują je i obdarowują różami - to powoduje prawdziwy amok.

Fot. Robert Kwiatek

Kończy się moda na swojskie zespoły disco polo - zastępuje je produkt z importu - boysband.

Idole z ogłoszenia

Tak powstał zespół Just 5 - w czerwcu tego roku. Poznańska agencja As Plus zorganizowała casting z myślą o stworzeniu pierwszej polskiej grupy chłopięcej. Zgłosiło się ponad 100 chłopaków w różnym wieku. Sławomir Sokołowski, producent i założyciel zespołu wybrał silną grupę kandydatów. Jednak decydujący głos w dokonaniu wyboru śpiewającej piątki miały nastolatki, które przez wiele godzin oglądały klipy chłopców. Wybrały oczywiście tych najbardziej ujmujących za serce i najprzystojniejszych.

Lubię to, co robię

Jest ich pięciu. Robert Kryla - mistrz Polski w tańcach dyskotekowych, uznał, że umie już doskonale tańczyć i woli zająć się układaniem choreografii. Uważał, że jego słabą stroną jest śpiew - w trakcie pierwszych prób uwierzył w siebie. Grzegorz Kopala - najstarszy w zespole, muzyk sesyjny, absolwent studium piosenkarskiego, występował w musicalu „Metro” i w zespole „Żuki”. Obawiał się, że nie poradzi sobie z tańcem. Dzięki intensywnym lekcjom i wskazówkom Roberta - pokonał taneczne bakcyla. Daniel Moszczyński - zamierzał być piłkarzem, los jednak chciał inaczej. Bartek Wróbel - najmłodszy, ulubieniec żeńskiej publiczności, samorodny talent, wszystko czego dotknie, wychodzi mu świetnie. Lubi gotować i jest rewelacyjnym kucharzem

(zwłaszcza chińskie potrawy). Shadi Atoum - śpiewał w poznańskich „Słowikach”, kocha taniec i śpiew, robi to, o czym zawsze marzył. Uważa siebie za niepoprawnego romantyka.

- Lubimy się wzajemnie, choć producenci naszego zespołu obawiali się, że trudno będzie nam się dotrzeć. Trzeba kochać to, co się robi, wykonywać to dobrze i wzajemnie współpracować - to chyba tajemnica sukcesu - twierdzi Robert.

Luka po disco polo

Pierwsze boysbandy w USA i zachodniej Europie zaczęły powstawać już pod koniec lat 80. Prekursorem mody na tańczących chłopaków była grupa New Kids on The Block. Do nas moda dotarła dopiero w latach 90. Wielokrotnie próby stworzenia polskiej supergrupy kończyły się fiaskiem. Do momentu kiedy sprawę w swoje ręce wziął Sławomir Sokołowski, muzyk, odkrywcza wielu talentów m.in. Anny Jurkiewicz, twórca zespołu „Bolter” (słynny przebieg „Daj mi tę noc”) i „Amadeo”.

- Na polskim rynku muzycznym, po wielkiej fali disco polo i słabnącej popularności tego gatunku, powstała wielka luka. Just 5 jest przeznaczony dla wielbicieli muzyki pop i dance - twierdzi Paweł Janowicz, z wytwórni BMG, która wydała longplay Just 5.

Zarówno producent, jak i wytwórnia zaprzeczają jakoby w niektórych przebojach Just 5

pobrzmiwały echa discopolowych hitów.

- Publiczność na to czekała. Może dlatego już po pierwszym przeboju „Kolorowe sny” zespół stał się popularny - twierdzi Karol Kus.

O zapotrzebowaniu na tego typu muzykę świadczy ekspansywne wchodzenie na rynek kolejnej rodzimej chłopięcej trupy - Not for boys, która reklamuje się jako „pierwszy śpiewający polski boysband”. Nowi chłopcy zarzucają Just 5, że nie są prawdziwi, na koncertach z playbaku podkładają ich inni wokaliści. Innymi słowy są dwa zespoły - ten występujący na scenie i śpiewający w zaciśniętym studiu.

Dziewczyny mdleją

Histeria towarzysząca występom boysbandów powoduje niekiedy zagrożenie bezpieczeństwa. Kiedy w ubiegłym roku w Polsce koncertowała popularna grupa amerykańska Backstreet Boys, w katowickim Spodku organizatorzy przygotowali specjalną salę reanimacyjną, do której przez cały występ wnoszono i wynoszono zemdlone fanki.

Do prawdziwej tragedii doszło jednak w Sopocie. Tuż po koncercie w Operze Leśnej okołołotyśki tłum nastolatk zaczął napierać na bramkę oddzielającą podjazd od zaplecza obiektu. Oszałałe nastolatki stratały sześć osób. Jedna z dziewczynek zmarła na skutek obrażeń w szpitalu. Do dziś nie ukarano winnych.

Zagrożeni są także muzycy, których w trakcie koncertów oczekują nie tylko wyrazy uwielbienia ze strony żeńskiej części publiczności.

- Na jednym z koncertów we Wrocławiu czekała na nas banda uzbrojonych osiłków. Policja rozgoniła to towarzystwo. Musieliśmy załatwić profesjonalną ochronę osobistą - mówi Bartek.

Również podczas ostatniego koncertu w Gdańsku ochrona wyprowadziła grupę nastolatków rzucających w zespół pomidorami.

Chłopcy z Just 5 przyznają, że czasem są zmęczeni koncertowym szaleństwem (od momentu założenia zagraли już 150 koncertów). Często marzą o prozaicznych rzeczach: kąpiel, sen, czytanie książki, spotkanie z rodzicami.

Blond pasemka i róże

Chłopięce grupy po mistrzowsku przygotowują show, dbając o każdy element przedstawienia. Do perfekcji dopracowana jest choreografia - członkowie zespołu tańczą dynamicznie, równo, wykorzystując nowoczesne trendy taneczne. Ale zestaw figur wydaje się nader skromny - proste gesty, przysiady, energiczne wymachiwanie rękoma w stronę publiczności. Istotnym punktem programu jest nawiązanie kontaktu z widzami. Każda z chłopięcych grup doskonale wie, który z pięknych chłopców jest ukochanym dziewczęcej publiczności.

Mechanizm werbowania jest zawsze podobny - ogłoszenie w prasie. Poszukiwani muszą być w wieku od 16 do 22 lat, przystojni, z sympatycznymi buziąmi, ładnie śpiewający i zgrabnie poruszający się.

ści. Ten oblubieniec co jakiś czas (nie za często) podchodzi do brzegu sceny wywołując spazmatyczny płacz, histerie i omdlenia fanek. W przypadku grupy Just 5 ta rola przypadła piętnastoletniemu Bartkowi Wronie.

- To prawda dziewczyny mdleją na mój widok. Piszą listy, proszą o rozwiązanie problemów. Nie wydaje mi się żeby popularność mnie zmieniła. Aha, jedyna zmiana to blond pasemka na grzywce - żartuje Bartek.

Zdaniem ochroniarzy zespoły chłopięce zachowują się prowokująco, celowo sterując emocjami publiczności. Wciągają na podest niektóre dziewczęta, całują je i obdarowują różami - to powoduje prawdziwy amok.

Karteczkowy szal

Boysbandy coraz więcej fanów mają wśród uczniów, a właściwie uczennic pierwszych klas szkół podstawowych. Dziewczynki często nawet nie znając muzyki zespołu stają się jego wiernymi wielbiczkami. W trójmiejskich szkołach panuje karteczkowy szal - małe fanki zbierają kartki z nadrukami ulubionych grup i poszczególnych członków zespołów (kartki sprzedawane są w bloczkach - cena od 3 do 5 zł). Te miniplakaty są już specjalnie przedrukowane, można je przechowywać w segregatorach (to kolejny wydatek - od 5 do 10 zł). Podczas przerw międzylekcyjnych ulubionym zajęciem jest oglądanie często okazałych zbiorów i wymiana - trzeba mieć jak najwięcej karteczek. Pomiędzy uśmiechniętymi twarzami Nicków, Brianów, Bartków itd. przypadkowo zaplącze się myszka Miki, sympatyczny piesek z długimi uszkami i inne zwierzątka - stosownie wiekowi dzie-

ciemu. Małe fanki prędkiej później naciągają rodziców na koncert ulubionej grupy. Rodzice z nadludzką wytrwałością pomagają również zdobyć autografy wybranego chłopca.

Kopalnia złota

Po rozpadzie grupy Take That miano najpopularniejszego amerykańskiego boysbandu zyskał Backstreet Boys. W Polsce sprzedano 229 tys. egzemplarzy ich debiutanckiej płyty. Nieźle radzi sobie Worlds Apart - jego longplay zyskał status złotej płyty, a na koncertach zobaczyło grupę ponad 15 tys. widzów. Teraz na szczyty popularności wzbija się 'N Sync. W trzy dni po wydaniu debiutanckiego krążka Just 5 sprzedano 108 tys. egzemplarzy - a zespół niemal nie był wówczas znany. Szacuje się, że sprzedano również około pół miliona kopii pirackich. Od czerwca zarejestrowano już 70 fanclubów zespołu.

- Just 5 jest obecnie najlepiej zarabiającym zespołem w Polsce. A dla wytwórni jest to oczywiście zła złota. O pierwszy polski boysband koncerny płytowe toczyły bój nim grupa powstała - mówi Paweł Janowicz z wytwórni BMG.

Shadi Atoum, jeden z członków Just 5 przyznał, że od kiedy jest w zespole, to on utrzymuje mamę i cały dom.

Podczas konferencji prasowej w hali „Olivia” chłopcy zapytani, co stanie się z grupą, gdy jej członkowie osiągną wiek męski, odpowiedzieli, że na razie o tym nie myślą. Śpiewają, zdobywają sławę i chcą to robić jak najdłużej.

Aldona Kaszubska



Po rozpadzie grupy Take That miano najpopularniejszego amerykańskiego boysbandu zyskał Backstreet Boys. W Polsce sprzedano 229 tys. egzemplarzy ich debiutanckiej płyty.

Fot. Robert Kwiatek

Grypa: groźna dla ludzi, kosztowna dla pracodawcy

Pierwsze - nie lekceważyć!

Wielokrotnie „przechodząc” przebiegiem grypy, biorąc leki przeciwgorączkowe i lecąc się po domowemu. Nie chciałem tracić ani chwili nauki, przygotowywałem się do ważnych egzaminów. Aż pewnego dnia okazało się, że jestem tak słaby, że nie mogę podnieść się z łóżka. Trafiałem do szpitala, gdzie stwierdzono, że mam powiększone serce, migotanie komór, obniżone ciśnienie - opowiada książkę Piotr Marks. - Wróciłem po dwóch tygodniach do seminarium, zdałem egzaminy, ale nie byłem w stanie nawet wejść na kilka schodów. Po zakończeniu roku akademickiego znów byłem w szpitalu i kazano mi się zebrać z najbliższymi, bo moje dni są policzone. Ale udało się cudem, że akurat znalazł się dawca, którego serce najbardziej „pasowało” dla mnie.

Jak nie urok to pandemia

Książka Marks ma niespełna 28 lat. Jemu, choć zlekceważył grypę, udało się przeżyć - od przeszczepu minęło półtora roku. Jednak nie wszyscy mają tyle szczęścia. Grypa jest poważną chorobą zakaźną, na którą nie ma specyficznego le-

karstwa. I dlatego nie wolno jej lekceważyć. W tym wieku wystąpiły trzy pandemie grypy. W 1918-19 roku w wyniku powikłań pogrypowych zmarło 20 mln ludzi - więcej, niż zginęło na wszystkich frontach I wojny światowej. Pandemia azjatycka w 1957 r. spowodowała około 1 mln zgonów, a ostatnia pandemia, zwana grypą Hongkong - 700 tys. (1968 r.). Większe epidemie występowały w Polsce w roku 1984 (2,4 mln chorych), w 1985 (2,3 mln), w 93 r. (2,7 mln), 94 r. (3,2 mln) i w 1996 r., kiedy to grypa położyła do łóżek 2,7 mln ludzi. W zależności od wielkości epidemii, od kilku do kilkudziesięciu tys. osób umiera podczas epidemii na powikłania pogrypowe.

Sezon grypowy zaczyna się w listopadzie i trwa do marca. Szczegół zachorowań przypada różnie w różnych latach, zazwyczaj jest to styczeń-luty. Zakażenie roznosi się drogą kropelkową, a zatem dobrze jest unikać osób kaszlących i kichających. Opisano przypadek, gdy po 4,5 godz. lotu zaraziło się grypą od osoby kaszlącej ponad 70 proc. pasażerów!

Leżeć i pić

Okres wylęgania się choroby to 2-3 dni, choć w skrajnych przypadkach możemy zachorować następnego dnia po kontakcie z wirusem lub aż po tygodniu. Objawy grypy są nieco inne niż przebiegiem - występuje wysoka gorączka, zapalenie gardła, oskrzeli i oskrzelików, bóle stawów i mięśni, bóle głowy, osłabienie i dreszcze.

Zamiast sięgać po środki przeciwgorączkowe i ruszać do pracy, by zarażać następnych, powinniśmy zostać w domu. Pić dużo soków, brać leki zalecone przez lekarza - i spokojnie leżeć w łóżku.

Grypa, zwłaszcza ta „przechodzona”, powoduje wiele powikłań - mówi dr Grażyna Cholewińska, ordynator ze Szpitala Zakaznego w Warszawie. - Głównym powodem śmiertelności, zwłaszcza wśród starszych ludzi, jest zapalenie płuc. Groźne są też powikłania w układzie krążenia. Około 5-15 proc. wirusów powoduje rozwój zapalenia mięśnia sercowego, a pogrypowe zapalenie doprowadza w około połowie przypadków do konieczności dokonania przeszczepu. Gdy grypa dołącza się do chorób przewle-

kłych, powoduje pogorszenie stanu zdrowia pacjenta. Profilaktyka to unikanie chorych, uodpornianie się szczepionką i częste wietrzenie pomieszczeń, w których mieszkamy i pracujemy.

Profilaktyka tańsza

W Polsce nie ma tradycji szczepienia się przeciw grypie. Tymczasem WHO zaleca szczepienie się ludziom przewlekłym chorym, dzieciom, ludziom po 65. roku życia, osobom z domów opieki, starców itp. miejsc, w których mieszka wiele ludzi pod jednym dachem. Szczepić powinny się osoby często podróżujące, pracownicy transportu, wojska, służby zdrowia oraz personel opiekujący się dziećmi w różnych placówkach (np. żłobki, przedszkola, domy dziecka).

Na polskim rynku dostępne są cztery różne szczepionki. Skład szczepionki ustalany jest zawsze w lutym w Genewie podczas spotkania przedstawicieli ośrodków badań nad grypą z 80 krajów. Wirus grypy jest zmienny i dlatego konieczna jest jego obserwacja, by wyprodukować jak najlepszą szczepionkę - wyjaśnia dr Halina Rudnicka, epidemiolog z PZH.

Profilaktyka jest tańsza niż leczenie - tak przynajmniej wynika z badań, prowadzonych w innych krajach. W Polsce takich badań nie robiono, ale przez analogię do innych państw można podejrzewać, że straty dla budżetu państwa i firm, wywołane absencją pracowników i kosztami leczenia, są podobnie wysokie.

Koszty profilaktyki to 35 proc. kosztów, jakie należy wyłożyć na leki i zasilki chorobowe, nie licząc kosztów spadku produkcji. Podczas badań pracowników w Zakładach Azotowych w Puławach stwierdzono, że od 2 do 4 razy mniejsza była absencja chorobowa wśród ludzi zaszczepionych przeciw grypie - stwierdził dr Paweł Kalbarczyk, ekspert ds. ekonomiki służby zdrowia. - Przy okazji spadła zapadalność na grypę i zachorowania grypopodobne u nie szczepionych, bo zmniejszyła się liczba zarażających. Wynika z tego, że firmy, które opłacają szczepienia swoich pracowników, robią dobry interes.

Ominie albo nie

Szczepienia przeciw grypie należą do tzw. szczepień zalecanych.

Oznacza to, że Ministerstwo Zdrowia poleca szczepienie się przeciw danej chorobie, ale nie refunduje kosztów szczepionki. W publicznej służbie zdrowia przysługuje nam darmowa wizyta lekarska do oceny stanu zdrowia oraz darmowe zaszczepienie, ale szczepionkę przynosimy ze sobą lub kupujemy na miejscu. Szczepić się trzeba przed szczytem zachorowań, a więc teraz jest po temu najlepszy czas. Pełną odporność uzyskuje się po 4 tygodniach. Przy szczepieniu waxesiprem odporność miejscową (nabłonek ust, nosa) zyskuje się po dwóch dniach, a odporność ogólnoustrojowa zaczyna się pojawiać po 10-15 dniach. Liczba szczepionych się ludzi rośnie także w Polsce, ale na razie niewiele osób decyduje się na taką profilaktykę. W 1996 r. zaszczepiło się 180 tys. osób, w 1997 - 360 tys. To wciąż tylko 0,9 proc. Polaków. Być może wiele osób sądzi, że „mnie to ominie”. Co roku od lat myli się tak myśląc, od kilkuset tysięcy do paru milionów ludzi.

Stella Sawajner

REKLAMA

PROMOCJA

1926-1996
70 LAT INNOWACJI

STIHL

Od 18.10. - 31.12.1997r.

oferujemy Państwu pilarki

STIHL 023, 025, 026, 029

z dodatkowym bezpłatnym wyposażeniem:

- zapasowym łańcuchem tnącym
- przewodnikiem z pilnikiem

ZAPRASZAMY!

ANDREAS STIHL Sp. z o.o., Sady k. Poznania, ul. Poznańska 16
Sprzedaż prowadzą wyłącznie autoryzowani dealerzy:

Człuchów - Batorego 18, tel. 447-41; **Chojnice** - Dworcowa 13, tel. 741-84, Składowa 9, tel. 729-76; **Elbląg** - Browarna 12, tel. 32 59 11; **Gdańsk** - Kołodziejka 2, tel. 319-760; **Gdynia** - Morska 122a, tel. 634-470; **Grudziądz** - Piłsudskiego 88, tel. 228-15; **Inowrocław** - Tupadły 55, tel. 53-79-36; **Kartuzy** - Kościuszki 4, tel. 81 47 37; **Koszalin** - Górskiego 8, tel. 457 294, Marii Ludwici 9, tel. 42 31 27, Okrzei 1, tel. 457 398; **Kościerzyna** - Wojska Polskiego 1a, tel. 864 095; **Nowe n/Wisłą** - Tczewska 16, tel. 277 13; **Pasłęk** - Kościuszki 21; **Pruszcz Gdański** - Krótka 13, tel. 82 19 43; **Pszczółki** - Tczewska 21, tel. 82 91 83, 82 99 89; **Świecie** - Deotymy 24, tel. 24 49 47, Grottera 17d, tel. 432 893; **Żwirki i Wigury** 2, tel. 111-91, Wojska Polskiego 129, tel. 111-91, Duży Rynek 10; **Tczew** - Żeromskiego 6B, tel. 310-662; **Toruń** - Grudziądzka 85, tel. 389 42, Warszawska 1, tel. 62 107 29, 458 624; **Wejherowo** - Os. 1000-lecia PP, tel. 722-093.

**JAROMA**

tel. (0-62) 747-35-95
"JAROMA" SA (0-62) 747-31-61
fax (0-62) 747-34-54
ul. Niepodległości 34
63-200 JAROCIN

oferuje:

OBRABIARKI DO DREWNA

strugarki, pilarki, frezarki, oklejarki,
szlifierki, formatyzerko-czioparki

zapewnia: serwis gwarancyjny, części zamienne
projektuje i wykonuje gotowe obiekty

zakupy: w systemie kredytu, leasingu i na raty

R4448

OKNA PCV AL

jeszcze do 15 XI 97 kupisz
po cenie promocyjnej
okno 1,5 x 1,5 m w cenie 607,00 + VAT
DRZWI AL 0,9 x 2,1 w cenie 874,00 + 7% VAT
Z NAMI STAĆ CIĘ NA NAJLEPSZE
PROFIL
SALON SPRZEDAŻY GDYNIA, UL. MORSKA 4A
TEL./FAX 61-71-73, TEL. 21-15-06
FILIA W GDAŃSKU, UL. SKŁADKOWEGO 83
TEL./FAX 42-38-55 OD 9.00 DO 16.00
S-966/A/949

ART Olsztyn i T.O. Profil
zapraszają w Gdańsku na:

PODYPŁOMOWE STUDIUM WYCENY NIERUCHOMOŚCI

Studium jest pierwszym etapem w celu zdobycia Uprawnień Państwowych Rzeczoznawcy Majątkowego. Zajęcia odbywają się przez dwa semestry w trybie zaocznym. Wykładowcami są najwyższej klasy specjaliści, pracownicy Wydziału Geodezji i Gospodarki Przestrzennej ART.

Informacje i zapisy:

Towarzystwo Oświatowe "PROFIL"
Gdańsk, ul. Klonowa 1, III piętro, pokój nr 1
tel. 460-311 lub 0-601 20 57 57

N-1085/A/94

SUPER PROMOCJA

**10%
RABATU + EKSTRA WKŁAD**
(k=1,3) OSZCZĘDZAJĄCY DO 54% CIEPŁA
CIEPŁOCHRONNY Z GAZEM

NA OKNA ZAMÓWIWNE
DO 15.XII.97
Z TERMINEM ODBIORU
15.I.98 - 15.III.98

M&S Gdańsk ul.Kartuska 358 A tel.0601 626 040
M&S Gdańsk ul.Jankiela 10 tel.0-58 329 642
M&S Gdańsk ul.Smolurowskiego1/3tel.058 452248
M&S Gdynia ul.Dantyszka5 tel.0-58 234 841
M&S Gdynia ul.Hutnicza 35 tel.0-58 230 060
M&S Gdynia ul.Mściwoja 3 tel.0-58 217 059
M&S Elbląg ul.Bema 63B tel.0-55 354 996
M&S Elbląg ul.Dworcowa tel.0-55 336 565 w.210
M&S Łębork ul.Słupska 18 tel.0-59 628 469
M&S Rumia ul.Sobieskiego 62 tel.0-58 710 510
M&S Wejherowo ul.Ofiar Piaśnicy 1A tel.058 720325
M&S Kościerzyna ul.Młyńska 4 tel.058 86 76 14
M&S Żukowo ul.Armi Krajowej15 tel.0-58 817557
M&S Żukowo ul.Kościarska 11 tel.058 817 168

**OKNA
DRZWI
ROLETY
PARAPETY
BLATY
STOPNIE**

M&S
MŁODOŚĆ & SUKCES

....NOVOPOL....

*jesienna
promocja*

**OKIEN i drzwi
PCV i AL**

Gdynia-Redłowo, Kaczewska
tel. 22-75-35 i 26-11-04

S-2305

**OKNA
PCV
PARAPETY**
Hurt, detal
RATY

MARDOM S.C.
ul. Morska 41
Gdynia

tel./fax
61-37-21

S-3264

WYTWÓRNI
STYROPIANU
„NIESTĘPOWO”
S.C.Nowy punkt sprzedaży
tel. 495-641

Gd. Kokoski, ul. Cementowa 1

Niestępowo ul. Raduńska 20

tel. (058) 81-85-54, tel./fax 84-08-46

S-2305

STYROPIAN

Wyrób posiada certyfikat ITB

NAJTANIEJ W TRÓJMIEŚCIE

**SIATKA
szklana
podtynkowa**

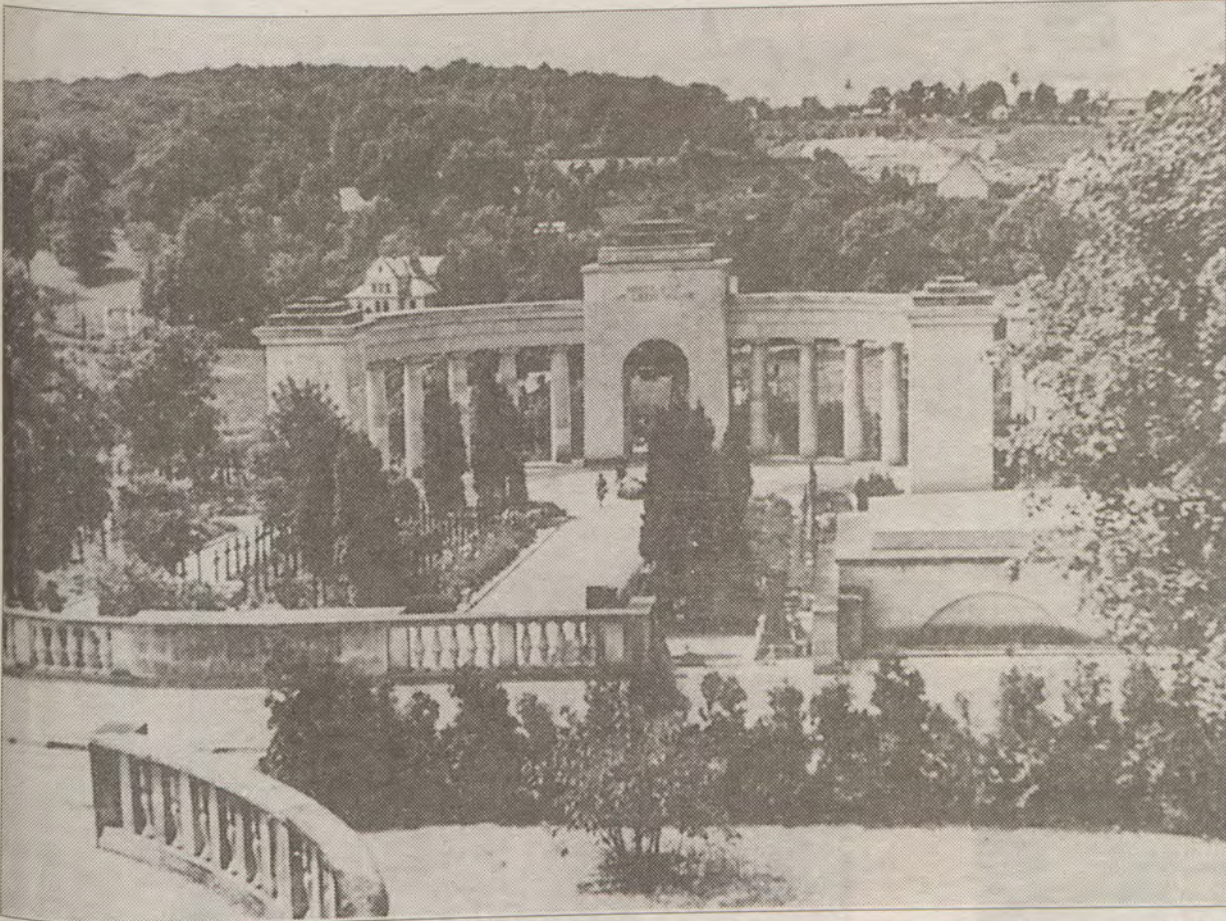
2,55 zł/m² + 22% VAT

- kompletny system dociepleń: ATLAS STOPTER

- galanteria styroplanowa

- materiały malarskie

już od
75 zł/m³
+ 7% VAT



Tak wyglądał Łuk Triumfalny i kolumnada Cmentarza Orłat przed wojną.

Fot. archiwum

Orłeta obroniły Lwów, kto obroni ich mogiły?

Tutaj była Polska

Nad sklepieniem Łuku Triumfalnego, stanowiącego główny element nie istniejącej już kolumnady, widnieje inskrypcja: *mortui sunt ut liberi vivamus - Umarli abyśmy żyli wolni*. Ten potężny łuk i ten napis nie dały się usunąć nawet czołgom i buldożerom. Przetwały najczarniejsze lata zagłady cmentarza i dziś, w dniu 79. rocznicy krwawych walk o Lwów i jego pozostanie przy Polsce, są symbolem pamięci silniejszej od śmierci.

Był deszczowy, smutny dzień, gdy we wrześniu składaliśmy wiązankę chryzantem na płycie nagrobnej, pod którą spoczywa pięciu nieznanym obrońców Lwowa. Jerzy - nasz lwowski przewodnik i Ryszard Szymański - wiceprezes Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi opowiadali nam historię tej niezwykle nekropolii. Wspinała, tragiczną i ciągle jeszcze nie zakończoną.

79 lat temu

1 listopada 1918 roku Ukraiński Komitet Wojskowy postanowił opanować Lwów i nie dopuścić by należał on, jak to było przed rozbiorami, do odradzającej się właśnie Polski. Polska ludność miasta stawiała opór. Pierwsi do walki przystąpili uczniowie słynnej Szkoły Sienkiewicza. Z każdym dniem szeregi obrońców Lwowa rosły. Wśród ponad sześciu tysięcy żołnierzy - prawie tysiąc pięćset było małoletnich, a bili się tak, że zasłużyli na miano Orłat. Na ponad 1900 poległych - 416 nie miało siedemnastu lat, a najmłodszy liczył dwanaście. Walki zakończyły się 22 listopada zwycięstwem Polaków, ale było ono okupione ciężkimi ofiarami. Czy konieczny mi? Bohater I wojny światowej marszałek Ferdynand Foch podczas pobytu we Lwowie w 1923 roku mówił: „W chwili kiedy wykreślano granice Europy biedząc się

nad pytaniem jakie będą granice Polski, Lwów wielkim głosem odpowiedział: Polska jest tutaj.”

Miejsce pamięci

Niemal natychmiast po zakończeniu walk zrodziła się idea zbudowania specjalnego cmentarza dla obrońców miasta. Dopiero jednak w 1920 roku można było rozpisz konkurs i rozpocząć budowę. Do realizacji wybrano projekt studenta architektury Politechniki Lwowskiej 23-letniego Rudolfa Indrucha, zresztą również uczestnika walk.

Jego projekt był tyleż monumentalny, co prosty i piękny. Cmentarz, wykorzystując pochyłość terenu, schodził tarasami w dół zbocza. Na szczycie stała kaplica i kolumnady, w których pochowano prochy 79 obrońców, a w części środkowej Pomnik Chwały w formie Łuku triumfalnego z wielką kolumnadą zakończoną potężnymi pylonami. Na nich wryto nazwy miejsc, w których toczyły się walki. Przed łukiem dwa kamienne lwy trzymały tarcze z herbami Rzeczypospolitej oraz Lwowa i inskrypcjami: „Tobie Polsko” i „Zawsze Wierni”.

Budowa trwała niemal dwadzieścia lat i zakończyła się tuż przed wybuchem II wojny światowej. Zgodnie z powszechną opinią był to najpiękniejszy i najbardziej przejmujący, bo obok żołnie-

rzy spoczywały dzieci, cmentarz wojskowy w Europie. Z niego, „najświętszego z świętych”, wzięto prochy nieznanego obrońcy, które w 1925 roku spoczęły w narodowym mauzoleum w Warszawie.

Zagłada

W latach rządów sowieckich Cmentarz Orłat był metodycznie, konsekwentnie niszczone. Najpierw pozwolono mu dziczeć i zarastać, okradając jednocześnie z granitów i rzeźb. Potem przestawo to już władzom wystarczać. Zwłaszcza że na sprofanowanych mogiłach stałe pojawiały się kwiaty i świeczki, oraz napisy: „Polska o Was pamięta”, „O Waszą krzywdę upomnimy się” itp.

W latach pięćdziesiątych zniszczono krzyże nagrobne. Potem wywieziono lwy, a teren otoczono murem i puszczono złe psy. Wkrótce zrobiono tu wysypisko śmieci. Ale i tego było za mało. 25 sierpnia 1971 roku na Cmentarz Orłat wjechały czołgi i spychacze. Zburzono kolumnadę, ale łuk triumfalny i pylony nie poddały się, a ze względu na bliskość domów bano się użyć trotylu. Więc tylko ostrzelano je z broni maszynowej niszcząc napisy. Parę lat później katakumby przerobiono na warsztat kamieniarski, w kaplicy zrobiono skład złomu, a w miejscu grobów generalskich postawiono garaże. Jeszcze później przez północną część cmentarza poprowadzono asfaltową drogę pod którą znalazły się mogiły.

Wybitny historyk Cezary Chlebowski tak opisuje to, co zobaczył w 1974 roku: „Trzy ciężkie czołgi z demobilu z wymontowanymi działami

kombatanckie próbowały wpłynąć na przywódców radzieckich. Na próżno. Nie pomogły noty rządów wielu państw i ONZ. Moskwa milczała i kontynuowała zagładę. W kraju o barbarzyńskim mordowaniu polskiego cmentarza nie mówiło się nic.

Powrót z nicości

A jednak Cmentarz Orłat jest, istnieje i - chcemy w to wierzyć - powróci do dawnego kształtu. Jest to ogromna zasługa załogi „Energopolu”, która - uważając to za patriotyczny obowiązek - rozpoczęła ratowanie miejsca spoczynku bohaterów.

Stanisław Nicieja, autor publikacji na temat cmentarza, za przełomową datę uważa 19 maja 1989 roku. Tego dnia ludzie „Energopolu” budujący we Lwowie gazociąg i kilka innych inwestycji, rozpoczęli pod kierunkiem swego dyrektora krakowianina Józefa Bobrowskiego prace porządkowe. W ciągu dwóch lat, z pomocą lwowskich Polaków, oczyścili teren z gruzu i śmieci, usunęli dziko rosnące drzewa i zielsko, odkopali szesnaście kwater grobowych i ustawili na nich krzyże, zrekonstruowali płyty nagrobne nieznanym obrońców i cokoły, na których stanąć mają lwy, odnowili napisy na pylonach, wreszcie odrestaurowali kaplicę.

W 1992 roku władze nie przedłużyły kontraktu z „Energopolem” i firma musiała opuścić Lwów, ale prace nie zostały przerwane. Kontynuowali je członkowie Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi. Ze wzruszeniem i podziwem patrzyliśmy na to, co zrobili w ciągu pięciu lat. Kosztem wolnego czasu, ciężkiej fizycznej pracy, ze skromnych swoich dochodów, najczęściej emerytur, w niewielkim stopniu wspierani przez przyjezdnych rodaków i polskie instytucje w kraju. Przed nimi jeszcze ogrom pracy, a tu okazuje się, że odbudowa cmentarza to...

Problem polityczny

16 grudnia 1994 roku podpisany został protokół dotyczący rekonstrukcji Cmenta-

rza Orłat. Kończy się on stwierdzeniem, że władze miasta wyrażają zgodę na rozpoczęcie przez stronę polską prac, których celem jest przywrócenie stanu z roku 1939 (z wyjątkiem kolumnady). Potem trwały dalsze negocjacje m.in. dotyczące ekshumowania i przeniesienia na teren cmentarza grobów znajdujących się pod asfaltową drogą i za nią.

- Wszystko zmieniło się w tym roku - mówi Ryszard Szymański. - W czerwcu nowy dyrektor Cmentarza Łyczakowskiego wystosował pismo do prezesa naszego Towarzystwa Eugeniusza Cydzika. „Zobowiązujemy pana - pisze w nim - w terminie dwumiesięcznym do dokonania demontażu wzniesionych pomników oraz napisów o charakterze antyukraińskim oraz wywiezienia ich poza terytorium cmentarza.” Za napis antyukraiński świadczący o naszych roszczeniach terytorialnych uznano inskrypcję na grobie pięciu nieznanym żołnierzom: „Bohaterom obrony Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich”. Napisy - według dyrektora - mają być po ukraińsku, bez symboliki polskiej (czyli orła) i w żadnym wypadku nie mogą mówić o obrońcach Lwowa, bo byli nimi Strzelcy Siczowi, a Polacy okupantami.

List i późniejsze wypowiedzi władz miasta wywołały szok zarówno w kraju, jak i wśród Polonii. Interweniowali na najwyższych szczeblach prezydent i premier RP oraz marszałek Sejmu. Powołano specjalne komisje negocjacyjne. We wrześniu sekretarz generalny Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa dostarczył merowi Lwowa nowy projekt rekonstrukcji nekropolii Orłat. Rozmowy są trudne, choć mer zapewnia, że „nie zamierza nasładować komunistów i zrywać napisów z cmentarza”. Czas pokaże czy żołnierzom polskim nikt już nie zakłóci wiecznego spoczynku.

Izabella Greczanik-Filipp



Resztki Łuku Triumfalnego, których nie zdołały zniszczyć sowieckie czołgi i buldożery.

Fot. archiwum

Ruszyć się!

Wizyta
u młynarzy

Dawny Dom Cechu Młynarzy.

Istniejące w dawnym Gdańsku bractwa, a także cechy dysponowały własnymi lokalami. Jedne były urządzone skromnie w wynajętych do tego celu kamienicach, inne z dostatkim, by nie rzec - przepychem. Wszystko zależało od rangi poszczególnych korporacji, zamożności jej przedstawicieli oraz prestiżu, jakim cieszyli się wśród gospodarzy miasta.

Jedną z najprężniejszych gdańskich organizacji cechowych tworzyli, i to już w czasach średniowiecznych, tutejsi młynarze. Ilość sprowadzanego nad Motławę zboża, potrzeby tutejszych i okolicznych mieszkańców, wreszcie moc przerobowa funkcjonujących na kanale Raduni (choć nie tylko tam) młynów z Wielkim na czele mówią same za siebie.

Nie wszystkim dane było dojść w tym fachu do godności mistrza. Ten wszakże, komu się to udało, miał zapewnić byt i na ogół wolny był od wielu trosk dnia codziennego. Tworzyli zaś tutejsi młynarze społeczność solidarną i potrafiącą dbać o własne interesy. Wiedzieli, jak walczyć z konkurencją, przede wszystkim zaś z partaczami.

Spore musiały być dochody młynarzy, skoro posiadali własną kaplicę w kościele św. Katarzyny, a także należącą do ich cechu budowlę określaną mianem dworu. To właśnie tutaj, w cieniu gotyckiej fary Starego Miasta oraz Wielkiego Młyna przedstawiciele tego zawodu gromadzili się, by radzić, ustalać przepisy, podpisywać rachunki, a gdy zachodziła taka konieczność - również nakładać kary na tych, którzy naruszali regulamin, tudzież obowiązujące przepisy.

Nie wiemy dokładnie, jak wyglądał pierwotny, położony przy ulicy Wielkie Młyny dwór. O wiele więcej wiadomo o budowlach cechowej wzniesionej w drugiej połowie minionego stulecia, w rejonie ulicy Na Piaskach. Był to dość

okazały dom o konstrukcji ryglowej.

Młynarska bracia spotykała się w nim regularnie, a to z okazji udanej transakcji, a to świętując czyjeś „wyzwolenie” na mistrza, bądź też by przy kuflu gdańskiego piwa uczcić pamięć zmarłego konfratry. Bywało, i to wcale nie rzadko, iż sprowadzano do młynarskiego domu muzykantów, a stoły ugięły się pod jadem.

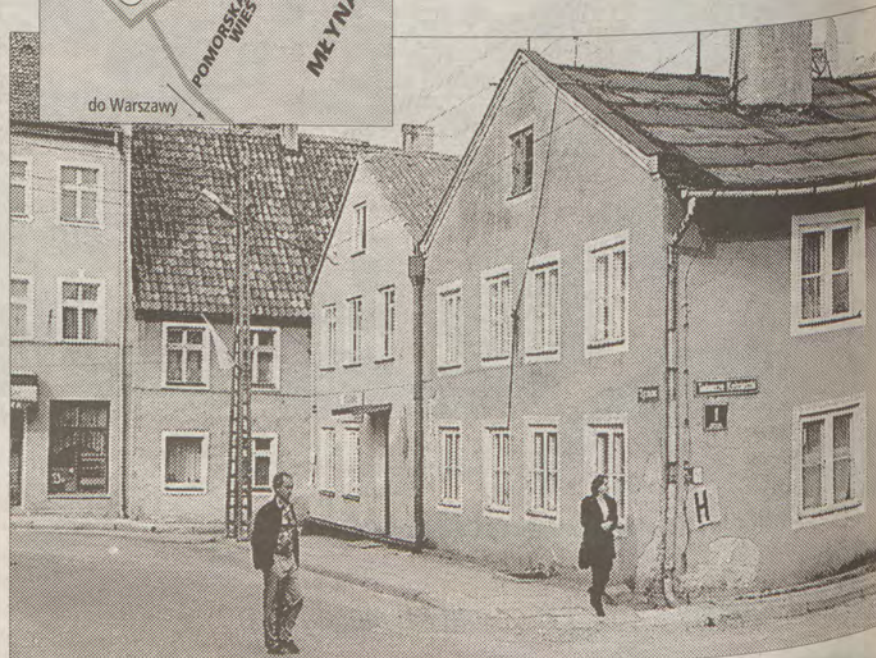
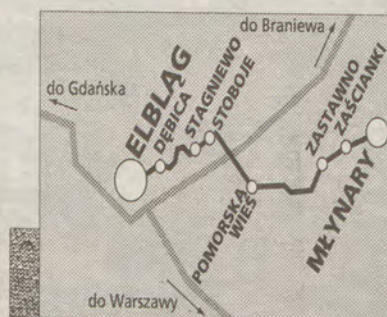
gorzej jeśli nadmiar trunków uderzał do głowy. Wówczas szły w ruch nie tylko naczynia, ale i meble. Przezorna starszyzna cechowa, chcąc nie dopuścić do najgorszego, tak sformułowała statuty, iżby żadnemu młynarzowi nie przyszło do głowy przestąpić progi tego domu z odkrytym toporkiem, lub trzymanym

przy sobie nożem wówczas, gdy trwała uczta.

Winnych zamieszek czekały kary, z których najłagodniejszy był obowiązek naprawienia wszelkich szkód wyrządzonych podczas bijatyk, najsroższe zaś wykluczenie z cechowej korporacji. Bywało wszakże, iż winę można było okupić stawiając zaproszonym po prostu jeszcze jedną beczkę krępego piwa gdańskiego.

Stary Dom Cechu Młynarzy, rozebrany w 1894 roku, zestawiono na cyplu, jaki tworzą ramiona kanału Raduni obejmujące bryłę Wielkiego Młyna. Ta budowla uległa całkowitemu zniszczeniu w czasie II wojny światowej. Starannie odtworzona właśnie teraz, w roku milenijnym, stanowi ozdobę jednego z najbardziej malowniczych zakątków Gdańska. Tylko patrzeć, a podwoje swe otworzy uroczą „Gospoda pod Wielkim Młynem”.

Jerzy Samp

Droga
do Młynar

Fot. Lucyna Niepokorowicz

Nazwę Mühlhausen, po polsku Młynary, nadali miastu przybylsze z Turynii.

Być może nadchodzący weekend to ostatnia w tym sezonie szansa na wycieczkę rowerową, zanim śniegi zmuszą nas do zamiany dwóch kółek na dwie deski. Jeśli więc aura będzie nam sprzyjać, to wybierzmy się do Młynar trasą częściowo już nam znaną, a jednak odkrywając coraz to nowe uroki.

Pojedziemy krętą szosą przez Dębicę. Na odcinku Stobojno-Stagniewo jeszcze do niedawna stare brzozy szumiały listowiem miodowej barwy. Szkoda, że ubywa ich z każdym rokiem. Zwłaszcza szalejąca przed kilku laty wichura poczyniła tu wielkie szkody, wyrwijając drzewa z korzeniami z rozmokej po ulewnych deszczach ziemi.

Dalej nasza droga przebiegać będzie przez Pomorską Wieś, Zastawno i Zaścianki. Mamy więc przed sobą ponad 25 km trasy przebiegającej przez krainę, której lasy, pola, łąki i pastwiska dostarczą nam niezapomnianych wrażeń estetycznych. Urzeczni pięknością krajobrazu zechcemy z pewnością powrócić tu wiosną, gdy łąki ubarwią jaskry, złocenie i dzwonki, a bukowe lasy okryje delikatna zieleń. W czerwcu

natomiast zachwycić nas będą polany niebieskie od kwitnących łubinów i pola pachnące rzepakiem.

Dojeżdżając do celu naszej wycieczki ujrzemy malowniczą panoramę usadowioną na wzniesieniu miejscowości z gotycką bryłą kościoła św. Piotra.

Młynary lokowane na prawie chełmińskim na początku XIV w. jako miasteczko, należały najpierw do zakonu, a po jego wywłaszczeniu do Prus Książęcych. Choć położone w żyznej okolicy, nie rozwinęły się nigdy w duże miasto, z uwagi na bliskie sąsiedztwo Elbląga, Pasłęki i Braniewa. Nazwę Mühlhausen, w tłumaczeniu na język polski Młynary nadali miastu przybylsze z Turynii. Wśród pierwszych mieszkańców spory odsetek stanowili Polacy. Wymienia ich akt lokacyjny w klauzuli dotyczącej

rozstrzygnięcia sporów pomiędzy Niemcami a Polakami. Od XVI aż po wiek XVIII ludność polska utrzymywała w mieście własną tzw. Polską Kaplicę.

Młynary założono na wzgórzu opadającym ostrą skarpą ku dolinie i mokradłom, a więc w miejscu z natury obronnym. Zbudowane na planie kwadratu miasto otaczały mury, których rogi wskazywały cztery strony świata. Z dawnych umocnień zachował się do dziś fragment muru, będący zresztą XIX-wieczną rekonstrukcją. W centrum znajdował się rynek z ratuszem. Kościół św. Piotra, zbudowany tuż po lokacji w pobliżu zachodniego narożnika obwarowań, pełnił oprócz funkcji sakralnych także obronne, o czym świadczy jego masywna wieża.

Jak wyglądało miasteczko na początku swego istnienia, można się dowiedzieć na podstawie opisu spustoszonego po wojnie polsko-krzyżackiej. Ze 170 domów uległo wówczas zniszczeniu aż 150. Spłonął ratusz, kościół, browar, cegielnia i szkoła parafialna. Spaliły się też wszystkie zabudowania z murami miasta. Również okres szwedzkiego potopu oraz niesione przez wojnę plagi i epidemie wyłudniły miasteczko.

Natomiast w wieku XVII i XVIII Młynarom zaczęło się nieźle powodzić. Prawdziwa katastrofa nastąpiła dopiero pod koniec ostatniej wojny, kiedy to zniszczeniu uległo 70 proc. budynków. Na szczęście ocalał najstarszy z zabytków - gotycki kościół z barokowym wystrojem wnętrza i bardzo cennymi barokowymi ołtarzami.

Po wojnie w województwie elbląskim osiedliła się spora grupa ludności pochodzenia ukraińskiego, która swoją kulturę prezentuje na odbywających się w Młynarach Przegładach Mniejszości Narodowych.

Lucyna Niepokorowicz

Wędruj razem z nami

■ Na wędrowkę kocięwą do Pelplina i w jego okolicy zaprasza Nadwiślański Klub Krajoznawczy „Trsow” działający przy Muzeum Wisły w Tczewie, Oddziale Centralnego Muzeum Morskiego w Gdańsku. Zbiórka uczestników w sobotę na dworcu PKP w Tczewie, skąd o godz. 8.22, nastąpi wyjazd do Pelplina.

■ Na trasie Sopot Kamienny Potok - Bernadowo - Góra Donas odbędzie się wycieczka, na którą młodzież szkolną zaprasza Koło SKKT nr 59 przy Szkole Podstawowej nr 29 w Gdyni. Zbiórka w sobotę, o godz. 8.40 przy kościele św. Józefa w Gdyni Grabówku.

■ Oliwa - Owczarnia - Klukowo to trasa wycieczki, na którą w niedzielę zaprasza Klub Turystów Pieszych „Trampy”. Zbiórka o godz. 10 przy pętli tramwajowej w Gdańsku Oliwie.

■ Na trasie Gdynia - Kolibki - Orłowo - Wielki Kack - Redłowo, pójda uczestnicy wędrowki krajoznawczej, podczas której zwiedzą wybrane gdynińskie zabytki. Na wędrowkę zaprasza w niedzielę Klub Krajoznawczy „Wrzos”. Zbiórka uczestników o godz. 9 w Klubie Turysty w Gdyni, ul. 3 Maja 27.

■ Do proponowanego rezerwatu przyrody „Bluszcze Wejherowskie” wyruszy w niedzielę wycieczka przyrodnicza zorganizowana przez Komisję Ochrony Przyrody Oddziału Morskiego PTTK. Zbiórka uczestników o godz. 10 na przystanku SKM Wejherowo Nanice. Wycieczka będzie trwać ok. 4 godzin.

■ W niedzielę na wycieczkę zaprasza Klub Turystów Pieszych „Wanoga”. Szczegółowe infor-

macje można uzyskać w Oddziale Morskim PTTK w Gdyni pod nr. tel. 21-77-51.

■ XV Rajd Pieszy im. dr. Mieczysława Orłowicza zorganizowany z myślą o młodzieży przez Oddział Morski PTTK w Gdyni wyruszy w ostatnią sobotę listopada (29.11). Zaplanowano dwie trasy piesze i jedną rowerową. Trasy piesze wiodą z Gdyni Chyloni i Gdyni Rzeźni do Oksywia (długość tras 9 i 8 km). Meta rajdu znajdować się będzie w Szkole Podstawowej nr 33, przy ul. G. Godebskiego 8 na Oksywiu. Zgłoszenia drużyn (do 27 listopada) i szczegółowe informacje nt. rajdu w Oddziale Morskim PTTK w Gdyni, ul. 3 Maja 27, tel. 21-77-51.

(mir)



Zamek cesarski Shurijo na Okinawie.

Fot. SCP

Wojaze naszych Czytelników

Okinawa - inna Japonia

„Mensorey” - to pierwsze słowo w miejscowym dialekcie, które zwykle słyszy turysta odwiedzający Okinawę. Słowo to stanowi formę powitania i gorącego pozdrowienia zarazem, którego dokładne znaczenie oddaje tylko hawajskie „Aloha”.

Okinawa położona jest na Pacyfiku i jest największą wyspą japońskiego archipelagu Riukiu. Powierzchnia jej wynosi 1,2 tys. km kw., a zamieszkuje ją ok. 700 tys. mieszkańców. Niewielki procent tej populacji stanowią Amerykanie, gdyż do 1972 r. wyspa ta była pod administracją USA. Do dzisiaj znajdują się tam amerykańskie bazy wojskowe.

Okinawa, otoczona dookoła rafami koralowymi, opiera swoją gospodarkę na przemyśle spożywczym i włókienniczym, uprawie trznic cukrowej, ryżu, bananów i mandarynek. Głównym źródłem jej bogactwa jest jednak turystyka.

Stolica demobilu

Większość turystów zwiedzanie tej wyspy zaczyna od jej stolicy, którą jest Naha - centrum polityczne i kulturalne archipelagu. To właśnie w tym mieście miałem okazję przebywać najdłużej.

Już przed moim przybyciem na archipelag znajomi Japończycy stwierdzili, że „Okinawa to nie Japonia”. Co przez to rozumieli, mogłem przekonać się dopiero na miejscu.

Stolica Okinawy, położona wśród skał i lasów, z pięknymi widokami na otwarte morze, nie jest zurbanizowana w takim stopniu, jak inne japońskie miasta. O ile np. w Osace rzadko spotyka się osoby mówiące płynnie po angielsku (wbrew pozorom Japończycy słabo znają ten język), o tyle większość mieszkańców Nahi mówi po angielsku całkiem niezłe. Zwiedzanie stolicy wyspy zacząłem od głównej ulicy miasta, Kokusai Dori („Międzynarodowa Ulica”). Różnorodność tamtejszych sklepów, butików i centrów handlowych oraz oferowanych w nich towarów zadowoli najbardziej wybrednego turystę. Także ceny są tam nieco niższe niż w innych częściach Japonii.

Na Kokusai Dori widziałem wiele sklepów z ubraniami wojskowymi, zwanych w Polsce potocznie

„demobilami”. Jednak tamtejsze „demobile” są dużo większe od tych u nas, w kraju, a wybór towarów (pochodzących bezpośrednio z baz wojskowych USA na Okinawie) jest nieporównywalny.

Coś na surowo

Większość najlepszych restauracji na wyspie znajduje się w centrum Nahi. Oferowane tam dania są zwykle drogie, a zestaw składający się z tradycyjnych potraw nie rzadko kosztuje ponad 1000 dolarów. Na szczęście w stolicy wyspy znajduje się też wiele tanich restauracji o europejskim wystroju, gdzie można spróbować zarówno potraw zachodnie, jak i japońskie. Wyspa słynna jest m.in. z tzw. okinawskich bułeczek ze słodką pastą fasolową, podawanych na liściu (Yamashiro manju). Bardzo popularne i stosunkowo niedrogi jest też sushi - ryba przyrządzana i podawana na parę sposobów, z ryżem i sosami (zwykle pikantnymi).

W japońskim jadłospisie do rzadkości nie należą też takie dania, jak np. surowe koźle jadra (uważane za afrodyzjak), surowe kraby i ryby z wodorostami oraz niezbyt słodkie ciasteczka Chinsukou-cookie. Podstawą, ewentualnie dodatkiem do tych potraw jest zwykle ryż. Zamawiając w Japonii herbatę (która jest całkiem inna od tej, jaką pijemy w Polsce) należy pamiętać, iż picie jej stanowi pewien rytuał w japońskiej tradycji. Warto też spróbować narodowego napoju (alkoholowego) sake lub okinawskiego likieru Awamori.

Najdłuższa jaskinia

Jeżeli pocujemy się syci i trochę znudzeni miastem, radzę wyruszyć w głąb wyspy. Około 10 km od Nahi znajduje się Gyokusendo Limestone, piękny park ze wspaniałymi widokami, wapiennymi skałami. Główną atrakcją tego miejsca jest 5-kilometrowa jaskinia. Oryginalne fantastyczne piękno, stalaktyty i unikatowe widoki - to wszystko

sprawia, iż jest to najczęściej zwiedzana jaskinia w Japonii.

W pobliżu znajduje się Gyokusen Snake Center, gdzie można zobaczyć i fotografować wszystkie typy jadowitych węży występujących na Okinawie.

Godnym odwiedzenia miejscem jest także Shuri - stary, cesarski park z XV wieku. Znajduje się tam cesarski pałac, zabytkowa świątynia i muzeum (wstęp do tych obiektów kosztuje 800 jenów, dzieci wchodzi za darmo). Piękne bramy wejściowe i unikatowa roślinność stanowią dodatkową atrakcję odległego o ok. 3 km na wschód od Nahi, parku Shuri. W tych samych okolicach znajduje się malowniczy ogród Shikina-En z drewnianym pałacem z XIX w.

Z Shikina-En rozciąga się wspaniała panorama na stolicę wyspy i jej okolice, w których znajduje się słynna podziemna kwatera dowództwa japońskiej marynarki wojennej z czasów amerykańskiej operacji na Okinawie w 1945 r. W tym ogromnym schronie wiele pomieszczeń zachowało swój pierwotny wygląd. Dojazd do tego historycznego miejsca - autobusem miejskim nr 33 z centrum Nahi.

Stek z kaktusa

W wielu słynnych parkach i obiektach historycznych na Okinawie znajdują się tradycyjne japońskie warsztaty produkujące porcelanę, maty, kimono itp. Turyści mogą

osobiście zobaczyć proces powstawania tych rzeczy oraz nabyć niektóre z nich. Nierzadko jest także okazja do spróbowania typowych dla odwiedzanego miejsca, potraw. I tak w parku kaktusów Himeyuri, serwuje się steki i lody z tych roślin.

Japończycy także potrafią wykorzystać swój wolny czas na różne sposoby. Jednym z nich jest karaoke - forma zabawy pochodząca właśnie z Japonii. Pozwala ona uczestnikom na wcielenie się w postać ulubionego piosenkarza. Muzyka odtwarzana jest z playbacku, a tekst piosenki wyświetlany jest na ekranie. Komputer ocenia poziom śpiewu w stosunku do oryginalnego wykonania utworu.

Okinawa stanowi też istny raj dla zwolenników sportów wodnych. Szczególnie wschodnie rejony, leżące nad Pacyfikiem nadają się do uprawiania surfingingu i windsurfingu oraz żeglarsstwa.

Pożegnanie

Nieubłaganie zbliżał się dzień mojego wyjazdu z Okinawy. Pomiędzy zdążyłem zwiedzić dokładnie tylko południową i centralną część wyspy, niepowtarzalne piękno i atmosfera tych terenów sprawiły, iż moim marzeniem jest znaleźć się tam ponownie.

- Mata aimasy, Okinawa!

Andrzej Czajka

Warto zapamiętać

Okinawa znajduje się w subtropikalnej strefie ze średnią temperaturą +23 st. C w lecie i +16,8 st. C w zimie. Językiem urzędowym jest japoński, w użyciu jest także miejscowy dialekt. Walutą jest jen = 100 senów (1 dolar ok. 120 jenów).

Większość sklepów w Naka otwarta jest od poniedziałku do niedzieli. Przy każdym zakupie do ceny towaru doliczane jest 5 proc. podatku konsumpcyjnego.

Średnie ceny niektórych usług i produktów w stolicy wyspy:

- taxi (przejazd do 1,8 km) - ok. 600 jenów (ok. 5 dolarów)
- rozmowa telefoniczna z automatu (1 min. na obszarze miasta) - 10 jenów (ok. 1 dolara)
- piwo (1 puszka 350 ml) - 230 jenów (ok. 2 dolarów)
- napoje (1 puszka 350 ml) - 110 jenów (ok. 0,9 dolara)
- papierosy (1 paczka) - 200-250 jenów (ok. 2 dolarów).

Na Okinawę można dostać się z większości japońskich miast promem bądź krajowymi liniami lotniczymi (lot z Tokio do Nahi trwa ok. 4 godzin).

„Królowa” w opałach

Myśli moczykija

Dawno, dawno temu, kiedy w Polsce nie było kajaków, a korytami płynęły jakieś wody, należało je jakoś ponazywać - i tak narodziły się rzeki: Bug, Wisła, Narew, itd. Nie było ruskich na bazarach, nie było metrówek po 3 ruble, a tak się jakoś przyjęło (przynajmniej w geografii), że im dłuższe koryto, tym ważniejsze. Mniejsze wpada do większego, większe do jeszcze większego, a to jeszcze większe do morza.

Tym logicznym tropem poszedł - o, przepraszam - popłynął kajakiem, z metrówką w plecaku, nasz rodak, Piotr Chmielnicki. Mierzył, mierzył i namierzył... Źródło Amazonki. I dobrze, że tam, że tak daleko, bo gdyby podobną wyprawę podjął w Polsce, gdyby popłynął pod prąd po naszej „Królowej”, skutki mogłyby być co najmniej brzemienne.

Już „na oko” widać, że tak zwana Wisła od źródła do ujścia Bugu (obecnie Narwi) jest krótsza od całego Bugu, toteż Bug jest ważniejszy od Wisły i: Albo Kraków i Warszawa powinny leżeć nad korytem o nazwie „Bug”, albo odcinek od twierdzy w Modlinie do ujścia przy twierdzy w Bugoujściu lub obecnie w Świbnie, powinien być Bugiem.

Za Gomułki, w roku 1962 namieszano jeszcze bardziej: Bug uznano za dopływ Narwi (!). Przecie Narew to przy Bugu - przepraszam - kurdupel. Może chodziło o skrócenie Bugu choćby o ociupinkę, może gomułkowcy zorientowali się, że Wisła nie powinna wypływać z ZSRR, a ciek w - bądź co bądź - stolicy należało jakoś zalegalizować?

Jest jak jest. Prastary ciąg do koryta nierozzerwalnie łączy się z mieszaniami w korytach i to w zasadzie nie szkodzi, natomiast należy użyć wszelkich, dostępnych środków, aby nie dopuścić Piotra Chmielnickiego choćby w pobliże wałów. Już jeden Chmielnicki wystarczająco nabroił, i to właśnie tam, na Podolu, gdzie Wisła czy - jak kto woli - Bug bierze swój początek. Lepiej, niech na razie tak zostanie.

Wiesław Matuszek



Rys. Wiesław Matuszek

Carina E ma następcę

Wprost nie do uwierzenia: po czterdziestu latach z programu produkcyjnego Toyoty znika model Carina. Zastępuje go - w każdym razie w Europie - nowe auto noszące dość dziwnie brzmiącą nazwę Avensis.

Carina E, produkowana od 1992 roku w brytyjskiej fabryce Toyoty w Burnaston, w żadnym z europejskich krajów nie była liderem sprzedaży. We wszystkich niemal znajdowała się jednak w czołówce segmentu rynkowego D (tzw. klasa niższa-średnia), a w wysoko cenionej klasyfikacji niezawodności publikowanej przez niemiecki ADAC od lat plasowała się na jednym z najwyższych miejsc, zamiennie ze Starlet, małodrożowym modelem Toyoty. Zyskała sobie opinię auta wygodnego, solidnego i trwałego, choć nieco wyzbytego indywidualności.

Europejczyk

Avensis - jak niedawno nowa Corolla - ma znacznie lepiej od poprzedniczki trafić w upodobania estetyczne Europejczyków, zachowując przy tym dotychczasowe zalety Cariny E. W opracowaniu stylizacji nadwozia oraz wnętrza duży udział miało więc TMME - europejskie centrum Toyoty w Zaventem pod Brukselą, a konsultantami byli przedstawiciele firm dystrybucyjnych Toyoty z poszczególnych państw Europy.

Nowe auto jest odrobinę krótsze od Cariny E, nieco szersze i minimalnie wyższe. Ma za to o całe 5 cm większy rozstaw osi, co dość zasadniczo wpłynęło na wymiary wnętrza. Jego nadwozie wykazuje pewne podobieństwo do nowej Corolli, zaś wlot powietrza kojarzy się nam z minivanem Picnic. Dobrą pracę wykonali specjaliści od aerodynamiki: współczynnik oporu aerodyna-

micznego nowego modelu wynosi zaledwie 0,28!

Toyota Avensis produkowana jest w tych samych co Carina E trzech wersjach nadwoziowych: jako czterodrzwiowy sedan, pięciodrzwiowy hatchback oraz kombi zwane tradycyjnie Wagon. Ma też wzorowany na poprzedniczce układ jezdy. Nowością jest zawieszenie, zarówno z przodu jak z tyłu, mocowane do pomocniczej ramy, elastycznie połączonej z nadwoziem. Ma to duży wpływ na obniżenie poziomu hałasu wewnątrz auta.

Elektroniczny wtrysk

Gama silników obejmuje cztery benzynowe jednostki napędowe o pojemnościach od 1600 do 2000 cm sześciu, z których dwie dostosowane są do spalania zubożonej mieszanki paliwowej (lean burn). Najmniejszy silnik znany jest z Corolli, pozostałe, z niewielkimi zmianami, dotyczącymi m.in. układu wtrysku paliwa, przejęto z Cariny E.

Piąty silnik stosowany w Avensis, dwulitrowy turbodiesel ma, odmiennie niż w Carinie, elektroniczny układ wtryskowy i chłodnicę powietrza. Jak Alfa Romeo i Opel, także Toyota zastosowała w aucie z tym silnikiem sterowanie układem zasilania „by wire”, w którym pedał gazu nie ma bezpośredniego połączenia mechanicznego z pompą wtryskową. Wciśnięcie pedału jest jedynie elektronicznym sygnałem dla aparatury wtryskowej, która samodzielnie określa na tej podstawie

Sądząc z doświadczeń z modelem Carina E, największe szanse na polskim rynku ma Avensis z nadwoziem hatchback, czyli kombilimuzyna.

optymalne parametry pracy silnika.

Poduszki i napinacze

Avensis góruje nad Cariną E pod względem poziomu bezpieczeństwa. Do seryjnego wyposażenia wszystkich odmian należą: ABS i poduszki powietrzne oraz pasy z napinaczami i układem zmniejszającym ich naprężenie dla kierowcy i pasażera, a auta w wyższym standardzie zwa-

nym Linea Sol mają ponadto poduszki boczne.

Avensis już w początkach przyszłego roku znajdzie się w salonach samochodowych

całej Europy. U nas sprzedaż nowego modelu - w ramach kontyngentu - rozpocznie się w styczniu 1998 r. Toyota Motor Poland nie ujawniła na ra-

zie ceny Avensis, ograniczając się do zapewnienia, że będzie ona „atrakcyjna”.

Marek Ponikowski
Złagica Toyota



Carina E i Avensis

Model	Długość/szerokość/wysokość	Rozstaw osi	Pojemność bagażnika	Masa wł./dop.
Carina E	4530/1965/1410 mm	2580 mm	470 l	1213/1720 kg
Avensis	4490/1710/1425 mm	2630 mm	500 l	1225/1830 kg

Silniki Avensis

Poj. skokowa	Liczba cylindrów	Rozrząd	Liczba zaworów/cyl.	Moc/obr.
1587 cm ³	4	DOHC	4	110 KM/6000 obr./min
1587 cm ³ (lean burn)	4	DOHC	4	100 KM/5800 obr./min
1762 cm ³ (lean burn)	4	DOHC	4	110 KM/5600 obr./min
1998 cm ³	4	DOHC	4	127 KM/5600 obr./min
975 cm ³ (turbodiesel)	4	SOHC	2	90 KM/4000 obr./min

DOHC - dwa wałki rozrządu w głowicy; SOHC - pojedynczy wałek rozrządu



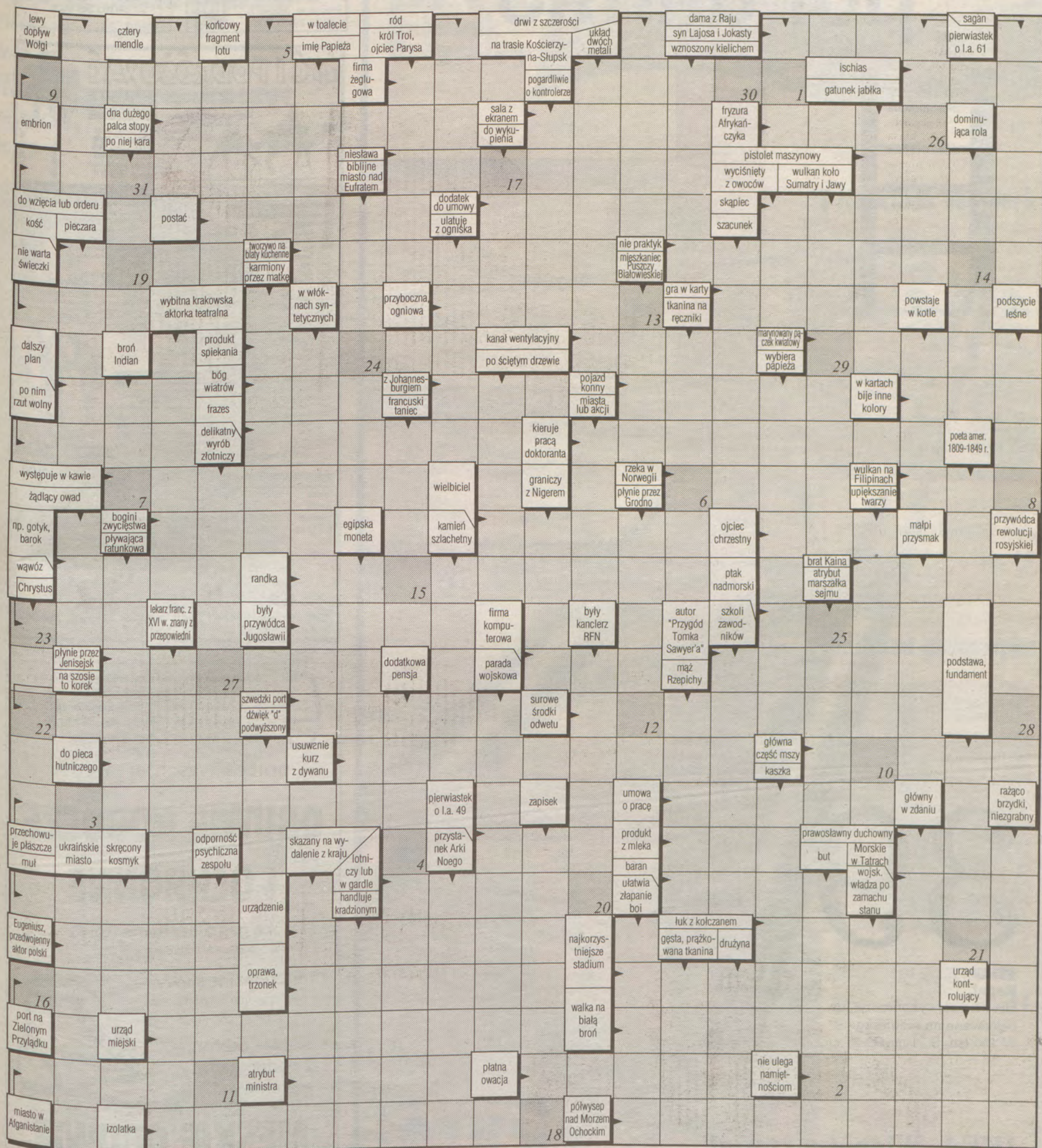
Elegancja i funkcjonalność po europejsku - wnętrze Toyoty Avensis.



Z profilu Avensis we wszystkich odmianach nadwoziowych przypomina nieco Carinę, ale to zupełnie nowe auto!

Pomyśl!

KRZYŻÓWKA ZA 250



Półki pół darmo

39,-

**FILIP
Regał.**

Drewno niewykończone lub
bejcowane na niebiesko.
W 150 cm, S 71 cm, G 31 cm

IKEA. Więcej a taniej.

Uwaga! Świąteczne godziny otwarcia:

Gdańsk, ul. Grunwaldzka 471, pon.-piąt. 10.00-21.00, sob. 10.00-20.00, niedz. 10.00-18.00
24.12.97.: 10.00-16.00; 31.12.97.: 10.00-16.00; 01.01.98.: 12.00-18.00



BRAMY



**GARAZOWE
WJAZDOWE
PRZEMYSŁOWE**
„PARKAN”
Straszyn, ul. Tęczowa 71
tel./fax 0 90 50 32 14

Promocja!!!

Castrol, Agip
oleje, płyny

wymiana gratis!

ul. Pucka 10 B
Reda, tel./fax 78 31 29
Auto Service
S-2128/A/919

ŻYCIE I PODRÓŻOWAĆ

Wyloty do wszystkich
destynacji z Warszawy
Loty bezpośrednie z Katowic
do Tunezji i na Teneryfę
z Poznania
na Gran Canaria

Organizujemy KONFERENCJE w hotelu **** w TUNEZJI,
4 dni/3 noce, cena od 399 USD. Dzwoni: tel. (81) 853 88 88

OPERTA SPECJALNA 1 tydzień 2 tyg.		
28.11	Tunezja	899 sprz.
28.11	Egipt	1299 1699
29.11	Gran Canaria	1499 sprz.
30.11	Cypr	1299 1699
5.12	Tunezja	sprz. 1099
5.12	Egipt	sprz. 1499
7.12	Cypr	1299 1699
8.12	Tajlandia (9 dni)	2599
14.12	Cypr	1299 1699
18.12	Lanzarote	1499 1999
18.12	Fuerteventura	1599 2099
19.12	Tunezja	1048 1299
19.12	Egipt	1568 2099
20.12	Teneryfa	1649 2479
21.12	Gran Canaria	1728 2479
22.12	Cypr	1199 1899
22.12	Cypr-izrael-Egipt	1599 2299
25.12	Lanzarote	2066 2066
26.12	Tunezja	1209 1499
26.12	Egipt	1729 2066
27.12	Teneryfa	2066 2066
28.12	Gran Canaria	sprz. 2722
28.12	Cypr	1376 1890
28.12	Cypr-izrael-Egipt	1799 2299
1.1	Lanzarote	1399 1721
2.1	Egipt	1099 1399
2.1	Tunezja	869 sprz.
3.1	Teneryfa	1299 1649
5.1	Tajlandia (9 dni)	2638 3199
8.1	Lanzarote	1399 1729

WAKACJE LETNIE '98
Zarezerwuj wakacje w sezonie
letnim '98 już dziś, a uzyskasz
do 95 USD rabatu!!!
Przykładowe ceny na sezon letni:

Kreta	999 1099
Halkidiki	859 999
Riviera Olimp.	859 1135
Majorka	1029 1299
Turcja	1029 1135
Rodos	928 1031
Tunezja	849 1031
Gran Canaria	1376 1721
Teneryfa	1999 1649
Lanzarote	1376 1721
Tajlandia (9 dni)	2632

WAKACJE DŁUGOTERMINOWE
Teneryfa 22.11.97 - 27.12.97 2599zł
Teneryfa+ 22.11.97 - 27.12.97 2599zł
Lanzarote 22.11.97 - 27.12.97 2599zł
Gran Canaria 7.12.97 - 27.12.97 2299zł
Cypr 27.12.97 - 25.01.98 1548zł
Tunezja 2.01.98 - 23.01.98 1048zł
Cypr 4.01.98 - 26.01.98 1048zł

ScanHoliday
Gdańsk, ul. Dł. Targ 39/40, tel: (58) 311 779, 314 367
Elbląg, ul. 1 Maja 30, tel: (55) 328 471

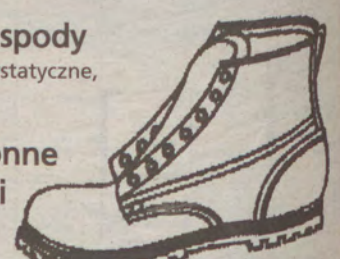


Renomowany producent z 50-letnią tradycją
Lubelskie Zakłady Przemysłu Skórzanego
20-417 Lublin, ul. Kunickiego 20-24
tel. (081) 532 22 31, fax (081) 532 02 00
<http://www.onet.pl/adv/izpssa/>

poleca wysokiej jakości

OBUWIE ROBOCZE I OCHRONNE

- szeroka gama asortymentowa
- trzewiki, półsaperki, sztyblety, półbuty
- funkcjonalne spody
- olejoodporne, antystatyczne,
żaroodporne
- obuwie ochronne
z podnoskami
metalowymi



MĘSKIE OBUWIE JESIENNO-ZIMOWE

Zapewniamy transport przy dużych zamówieniach gratis.
R-8395/237